

NICHOLSON BAKER

Vox czyli seks przez telefon

Przełożył Grzegorz Sowula

Tytuł oryginału VOX A Novel about Telephone Sex

- Co masz na sobie? - zapytał.

- Białą koszulę w małe gwiazdki, zielone i czarne, czarne majtki, skarpetki w odcieniu zielonych gwiazdek i czarne płócienne trepki, które kupiłam sobie za dziewięć dolarów.

- A co robisz?

- Leżę na łóżku, zaścielonym, co się rzadko zdarza, ale akurat dziś rano to zrobiłam. Kilka miesięcy temu dostałam od matki szenilową narzutę, dokładnie taką, jakie mieliśmy w domu, ale nie używałam jej, cały czas leżała złożona w kostkę, aż zrobiło mi się głupio i w końcu dzisiejszego ranka przykryłam nią łóżko.

- Nie wiem, co to jest szenila - powiedział. - Czy to rodzaj jedwabistego materiału?

- Nie, bawełna. Bawełniana szenila. Narzuta ma takie drobne pikowania, normalny wzór. Jak w pokojach gościnnych, które wynajmuje się ze śniadaniem.

- Och och, pikowany wzór. To lepiej.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo jedwab jest taki... przywodzi na myśl ogłoszenia agencji towarzyskich, złożone czcionką naśladującą kaligrafię sprzed stu lat: Dla świadomego rzeczy dżentelmena, coś w tym stylu właśnie. Albo „Deliques Intima-tes”, znasz ten katalog?

- Dostaję go prawie co tydzień.

- Właśnie, lekka przesada. Koronkowe delikatności, Aubrey Beardsley, nie, dziękuję uprzejmie. Myślę teraz tylko o tym, moja droga, że te twoje jedwabne tappants, które włożyłaś, z pewnością się splamią.

- Tu masz rację - rzekła. - Dostałam od kogoś taką niezwykłą sztukę bielizny, nie z „Deliques”, ale w tym samym stylu, jedwab i koronka. Robię się... jestem bardzo wilgotna, gdy się podniecam, właściwie to szalenie krępujące. Więc ta bielizna mi przemokła. Powiedział wtedy, ten facet, od którego ją dostałam: „Nie przejmuj się, wyrzuć ją, raz już użyłaś”. Ale jakoś nie mogłam, pomyślałam, że może będę chciała włożyć ją jeszcze kiedyś? Jedwab jest bardzo przyjemny w noszeniu, wiesz? Więc zaniósłam ją do pralni chemicznej. Nie zwracałam im na to specjalnej uwagi, oddałam ją po prostu razem z całą masą ubrań, które noszę do pracy. Wróciła z prania z przyczepioną karteczką, na której był narysowany tańczący wieśniak, w kapeluszu i z żalną twarzą, który mówił mniej więcej coś takiego: „Darujcie! Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, przedsięwzięliśmy specjalne środki, ale nie udało nam się usunąć plam z tej sztuki!” Przyjrzałam się wtedy dobrze, i wiesz, dziwne: znalazłam pięć małych plamek, takich owalnych punkcików, ale nie tam, gdzie ja się zmoczyłam, lecz wyżej, z przodu.

- Niesamowite.

- A typ, od którego ją dostałam, nie trysnął na mnie. W inne miejsce, tak, tego jestem pewna. Więc myślę sobie, że ktoś w pralni...

- Nie może być! I dalej z niej korzystasz?

- Jest w pobliżu, więc wygodnie.

- Gdzie mieszkasz?

- Po wschodniej stronie.

- Och. Ja po zachodniej.

- To miło.

- Tak, miło - rzekł. - Przez okno widzę latarnię z całą masą dziur po kolcach, jakie zostawili robotnicy, to znaczy drewniany słup telefoniczny z uliczną latarnią...

- Rozumiem.

- I kilka budynków. Latarnię włącza fotokomórka... to piękne, jej zapalenie się, naprawdę piękne.

- Która u ciebie godzina?

- Hm, szósta dwanaście - rzekł.

- Już ciemno?

- Nie. A u ciebie?

- Niezupełnie - powiedziała. - Dla mnie tak naprawdę ciemno robi się w pokoju dopiero wtedy, gdy najjaśniej jarzą się światełka na odbiorniku. Może to niezupełnie prawda, ale ładnie brzmi, nie uważasz? Którą ręką trzy-trzymasz słuchawkę?

- Lewą - odparł.

- A co robisz prawą?

- Moja prawa ręka w tym momencie... moje palce są w doniczce z kwiatkiem, który dostałem od kogoś. Marnieje, wyraźnie marnieje. Jakbym przebierał palcami w ziemi.

- Co to za kwiatek?

- Nie pamiętam - rzekł. - W ziemi tkwi kilka okrągłych wypolerowanych kamieni. Poczekaj, znalazłem tabliczkę... nie, to tabliczka z ceną. Anonimowa roślina pełna tajemnic.

- Nie powiedziałeś mi, co ty masz na sobie - rzekła.

- Mam... No, płaszcz kąpielowy i japonki z niebieskimi podeszwami i czerwonymi paskami. Dopiero zaczynam nosić japonki, to znaczy odkąd się tu przeprowadziłem. Doskonale są rano, zaraz po przebudzeniu. W

- Och. Ja po zachodniej.

- To miło.

- Tak, miło - rzekł. - Przez okno widzę latarnię z całą masą dziur po kolcach, jakie zostawili robotnicy, to znaczy drewniany słup telefoniczny z uliczną latarnią...

- Rozumiem.

-1 kilka budynków. Latarnię włącza fotokomórka... to piękne, jej zapalanie się, naprawdę piękne.

- Która u ciebie godzina?

- Hm, szósta dwanaście - rzekł.

- Już ciemno?

- Nie. A u ciebie?

- Niezupełnie - powiedziała. - Dla mnie tak naprawdę ciemno robi się w pokoju dopiero wtedy, gdy najjaśniej jarzą się światełka na odbiorniku. Może to niezupełnie prawda, ale ładnie brzmi, nie uważasz? Którą ręką trzy-trzymasz słuchawkę?

- Lewą - odparł.

- A co robisz prawą?

- Moja prawa ręka w tym momencie... moje palce są w doniczce z kwiatkiem, który dostałem od kogoś. Marnieje, wyraźnie marnieje. Jakbym przebierał palcami w ziemi.

- Co to za kwiatek?

- Nie pamiętam - rzekł. - W ziemi tkwi kilka okrągłych wypolerowanych kamieni. Poczekaj, znalazłem tabliczkę... nie, to tabliczka z ceną. Anonimowa roślina pełna tajemnic.

- Nie powiedziałaś mi, co t y masz na sobie - rzekła.

- Mam... No, płaszcz kąpielowy i japonki z niebieskimi podeszwami i czerwonymi paskami. Dopiero zaczynam nosić japonki, to znaczy odkąd się tu przeprowadziłem. Doskonale są rano, zaraz po przebudzeniu. sobotę czy w niedzielę wychodzę w nich na róg po gazety, i to uczucie, jakie daje cienki pasek dokładnie u nasady dużego palca - słuchaj, bierze cię w garść, normalnie popycha w kolejny dzień. Jakbyś wsadziła stopy w u-prząż.

- Masz coś na punkcie stóp? - spytała.

- Nie nie nie nie. Kobięcych? Nie. Dla mnie neutralne, coś jak łokcie. Jeśli chodzi o mnie, to lubię...

- Co?

- Wiesz, bardzo często, kiedy już finiszuję, lubię unieść się na poduszkach stóp. Ma to jakiś związek z napięciem mięśni nóg i tych, no, w pośladkach, łączy wszystkie nerwy razem, coś jak gdybym miał mieć orgazm nogami. A czasem, gdy tak robię, czuję się niczym wykładowca w szkole kiwający się na piętach czy jakiś wiecowy mówca, który wspina się na palce i wykrzykuje slogany o przeznaczeniu.

- I wtedy, gdy już jesteś u szczytu releve, wystrzelasz w chusteczkę - powiedziała.

- Ta-k.

- Do czego nas prowadzi uczucie. Znałam kiedyś faceta, lekarza, powiedział mi raz, że przy masturbacji lubi gwałtownie oddychać, zupełnie jak mały szczeniak. Miał całą naukową teorię na ten temat: ta hyperwenty-lacja, twierdził, obniża poziom jonów wapna we krwi, zmienia przewodnictwo nerwowe, robi to i tamto. Spróbowałam nawet raz. Mówił, że gdy już jesteś tuż-tuż, po całym tym ziajaniu, he-a-he-a-he-a, powinieneś zrobić coś, co się nazywa próba Valsalvy, czyli nabrać powietrza, zacisnąć krtań i przeć z całej siły. Jeżeli zrobisz to poprawnie, masz mieć orgazm nie z tego świata: w uszach ci będzie dzwonić, korzonki włosów świerzbić, zęby wypadać, sama nie wiem, wszystko razem. Nie poszło mi najlepiej z jego techniką, ale on to było wielkie chłopisko, ogromna rozwichrzona broda, grube ramiona, przepadał za dużymi pulpetami z surogatu mięsnego w takim pomarańczowym sosie... był tak potężny i tak niewinny, i tak przy tym wstydlivy, że przedstawić go sobie dyszącego...

- ... z zaciśniętymi mocno oczyma...

- ... właśnie, zgarbionego nad swym członkiem, choć muszę przyznać, że nigdy właściwie nie udało mi się wyobrazić sobie jego członka, więc ta wizja, gdy on świadomie, w specjalny sposób łapie oddech i zachłystuje się, wystarczyła mi do zapewnienia sobie paru przyjemnych chwil.

- Ooo. Właśnie na tym łóżku?

- Właśnie na nim.

- Ale bez szenilowej narzuty.

- Bez narzuty, z której, widzę to teraz, przyklejają mi się do majtek jakieś maleńkie białe kłaczki, mm, mm, mm, no już, złazić ze mnie. Widzisz sam, że ta pretensjonalnie podniecająca jedwabna narzuta z „Deliques” byłaby w gruncie rzeczy praktyczniejsza.

- Taak, niby tak, ale to nie to - powiedział. - Jasne, że to, co mają w „Deliques”, może się wydawać podniecające, podwiązki i te rzeczy, ale właściwie nie działa to na mnie; prawdę powiedziawszy, cały ten wiktoriański smaczek, jaki wyczuwam w pewnego rodzaju afektowanym wyuzdaniu, odrzuca mnie, ale tak czy siak muszę przyznać, że kiedy ich katalogi zaczęły nadchodzić, tydzień w tydzień, wczesna jesień, jej pełnia, późna jesień, ten nieustający potok na wpół ubranych kobiet napływających do mnie z pocztą, na błyszczącym papierze, z odętymi wargami i tak dalej, wtedy zaczęło mnie to interesować.

- A widzisz, teraz się przyznajesz - rzekła. - Mężczyźni też tam nieźle wyglądają.

- Może, ale dla mnie i tak nie liczyły się te całe hemi-demi-topi. Mogę ci zresztą powiedzieć, co miało znaczenie: zdjęcie, na którym była kobieta w luźnej zielonej koszuli,

leżąca na plecach, z nogami w górze, skrzyżowanymi w kostkach, w rajstopach. Wcale nie czarnych. Byłem... byłem absolutnie zachwycony tym zdjęciem. Pamiętam, że wróciłem z pracy i siedziałem przy kuchennym stole, studiując zdjęcie przez, ja wiem, dziesięć minut, czytając krótki opis rajstop, znów przyglądając się zdjęciu, czytając, patrząc. Miała bardzo długie nogi. Czy znalazłby się ktoś, komu mógłbym kupić takie rajstopy, zastanowiłem się. Nie, właściwie nie, przynajmniej nie w tamtym momencie. Robione były jakimś specjalnym ścięciem, nie takim jak szenila, na pewno nie... mereżkowym! Beżowo-zielone mereżkowe rajstopy. Wiesz, dla mnie to słowo, „rajstopy”, jest o wiele bardziej ekscytujące niż zwykłe „pończochy”. Tak czy owak poszedłem do bawialni, ustawiłem telefon na podłodze, potem położyłem się tuż obok aparatu i dalej oglądałem to zdjęcie, przejrzałem resztę katalogu, ale wróciłem znów do mojego obrazka, aż wreszcie ramiona rozboleły mnie od trzymania katalogu w powietrzu, położyłem go więc sobie na piersi, otwarty na tym zdjęciu, i zacząłem obracać głowę z boku na bok: pełna rozkosz! Jeśli kręcisz tak głową na dywanie, zwykle wzmacnia to uczucie bojaźni czy podziwu, jakie przeżywasz. Ale żadnego dzwonienia w uszach, niestety.

- Nie.

- Choć nie jem zbyt często pulpetów z surogatu. Lubię je oczywiście zjeść od czasu do czasu, z grzybami na przykład, ale chciałem po prostu, żebyś mogła mnie odróżnić od tego, wiesz...

- Och, nie martw się nim - rzekła. - Masz zupełnie inny akcent, twój głos jest taki... nie do odparcia.

- Miło mi to słyszeć. Byłem zdenerwowany, kiedy dzwoniłem. Temperatura opadła mi chyba ze trzy stopnie, kiedy postanowiłem wykłubić twój numer.

- Naprawdę? Gdzie znalazłeś ogłoszenie?

- W jednym z pism dla mężczyzn.

- Którym? - spytała.

- Trochę to ambarasujące, wiesz? «Juggs», akurat w tym. A ty gdzie?

- «Forum» - odpowiedziała po chwili.

- Jak wygląda to ogłoszenie? - spytał.

- Czekał... - rzekła. - Rysunek kobiety i mężczyzny, każde trzyma słuchawkę, i nagłówek: „W każdej chwili”. Spodobał mi się ten rysunek.

- Znam je - powiedział. - Zupełnie inne niż moje. Na moim jest kolorowa fotka kobiety, sznur telefoniczny owija jej nogę, jednym ramieniem niby zakrywa piersi, a nagłówek nad numerem brzmi: „Niech się stanie”. Tyle że jest w tym coś nieuchwytnie

bardziej szykownego, wyróżniającego je spośród innych, coś w samym układzie graficznym i kroju czcionki, jakim wydrukowany jest numer, wszystko mimo tego całkiem banalnego pomysłu „kobie-ta-plus-telefon”, pomyślałem więc, że może przyciągnie nieco inny rodzaj dzwoniących. Ale, rrrany, ta fala dodu-piastego chęjstwa, jaką zalali cię wszyscy faceci, gdy odezwałaś się po raz pierwszy do słuchawki, no, nie była to z pewnością pogaduszka przy kanapeczkach z ogórkiem. Ten jeden typ przerywający innym: „Lubisz cijągnąć dużego cijula?”, „Duże masz suty, i ciemne, ciemne?” No, ale zgódźmy się, że nikt nie dzwonił oczekując właśnie gadki o kanapeczkach z ogórkiem.

- Nie mam nic przeciwko temu... ogórkowi. Ale nie, przypuszczam, że jednak nie. Mniejsza z tym, teraz mówimy o czymś innym, „jeden na jednego”, jak to mówią, w tym słynnym „światłowodowym buduarze”.

- Racja.

- Opowiadaj dalej - rzekła. - Mówiłaś właśnie, że leżałaś na podłodze kręcąc głową w tę i z powrotem?...

- A, tak. Więc tkwiłem na dywanie z katalogiem rozłożonym na piersi, oczarowany tymi rajstopami, i zaczął mi się roić pomysł, porażająco paskudna koncepcja: wyobraziłem sobie, że brandzluję się zamawiając tę parę rajstop, dokładnie była to wizja, wizja...

- No?

- Że siedzę w wannie, ale równocześnie rozmawiam przez telefon z przyjmującą zamówienia osobą z „Deli-ques”, ma taki, wiesz, miły niewinny głos, zwariowaną ale całkiem miłą trwałą, może trochę zbyt sztywną, cień lokalnego akcentu, słodką twarzyczkę, świeżo wyprane dżinsy i fajniutkie skarpetki, ale przy tym noszącą pewnie parę najlepszych firmowych fusionpanties z koronkowym szewronem czy czymś takim okrywającym jej wzgórek, które kupiła ze zniżką przysługującą pracownikom, ja zaś leżę w wannie, co jest idiotyczne samo w sobie, jako że nigdy nie wyleguję się w kąpielni, ale jestem w wannie i ruszam się tak delikatnie, by tylko nie usłyszała żadnych wodnych chlapnięć czy plaśnieć i nie zorientowała się, że wzięłam mój przenośny telefon do łazienki, gdzie leżę teraz na wpół zanurzony, i mówi: „Proszę chwileczkę poczekać, muszę sprawdzić, czy możemy zrealizować pańskie zamówienie”, a podczas tej przerwy wynurzam się z wody i kieruję telefon na mego kutasa, by mogła go jakimś sposobem dostrzec czy przejąć jego wibracje, i w momencie gdy mówi: „Owszem, mamy mereżkowe rajstopy w płowym odcieniu”, wytryskuję w absolutnym milczeniu wykrzywiając się niczym Smurf.

- Okropne.

- Tak, ale rozumiesz, sam nie wiem, leżałem wtedy na podłodze w dużym pokoju, co mi się nieczęsto zdarza.

- Czy faktycznie... zabawiałeś się ze sobą wyobrażając sobie to wszystko?

- Ależ skąd! Jedną dłonią przytrzymywałem telefon, bawiąc się tylko przyciskami i drażniąc je, gdy druga spoczywała na rozłożonym na piersi katalogu. Ale w końcu pomyślałem, że chyba bym się wstydził zamawiając parę rajstop dla siebie; osoba przyjmująca zamówienia mogłaby pomyśleć, że jestem jakimś zbrojcem, a przecież to absolutna nieprawda, jestem telefonicznym lech-taczem.

- Obsceniczny wydzwaniacz.

- Dokładnie. Zacząłem się zastanawiać, dla kogo mógłbym je właściwie zamówić, i przyszła mi do głowy jedna z kobiet w biurze, bardzo miła niewiasta, nie wyróżniająca się, można powiedzieć, ale naprawdę miła, która kiedyś zaskoczyła mnie i drugiego faceta opowiadając zupełnie bez związku o jakichś swoich znajomych, co to właśnie urządzili wielkie przyjęcie weselne w muzeum i w czasie tego przyjęcia złodzieje podjechali ciężarówką, zwinęli wszystkie prezenty ślubne i prysnęli.

- Prezenty były wystawione na pokaz? - zapytała. - Tak.

- Aa, to błąd.

- Za który ponieśli karę. Nie w tym rzecz... wśród prezentów, powiedziała nam, była taka specjalna huśtawka, którą przypina się pewnie do haka w suficie, żeby kobieta mogła...

- Tak, tak, wiem - powiedziała.

- I zaczęła żartować, jakim kłopotem będzie wstawienie do pasera buchniętej seks-huśtawki. Stała mi znów w pamięci, opowiadająca o tym szurniętym przyrzędzie, i zapragnąłem zamówić te rajstopy właśnie dla niej... wraca któregoś dnia do domu z pracy i proszę: „Hej, co to, mała paczuszka z ‘Deliques’ dla mnie?” Otwiera, wyciąga plastikowe opakowanie z rajstopami w środku, w ręce ma kopię zamówienia, oczywiście bez mojego nazwiska, bo jakoś udało mi się przekonać osobę szykującą wysyłkę, by go nie podawała.

- Jasne, jasne.

- Wie już zatem, że ma cichego wielbiciela. Na blankiecie ma komputerowy wydruk, rząd skrótów: „1 PR MRŻ RAJSTOPY, PŁ, M, \$ 12,95”, i wyobraziłem ją sobie, jak patrzy na tę karteczkę i myśli: „Ojej, więc dobrze, chyba powinnam przynajmniej sprawdzić, czy pasują”.

- Zaraz, poczekaj! - powiedziała. - W oko wpada jej co innego, w oko jej wpada...

- Powiedz - rzekł.

- Zauważa, że na blankiecie, nad numerem oznaczającym jedną parę rajstop, jest jeszcze parafa zrobiona tępym ołówkiem.

- Oczywiście, zgadza się.

- Dokładnie jej się przypatruje i wyobraża sobie męską rękę stawiającą ten znaczek, zadziwiająco wypielegnowaną rękę, bo w magazynach „Deliques” był strajk i kierownictwo musiało w związku z tym wynająć z agencji grupę męskich modeli, by zastępowali w tej krytycznej sytuacji normalne sortowaczki i pakowaczki, którymi oczywiście były głównie podstarzałe Laotanki. Kiedy przydarzył się strajk, byli akurat w czasie robienia zdjęć do katalogu, wszyscy ci młodzieńcy, mieli więc na sobie dokładnie to, co nosili na planie, czyli te ich ulubione ciemnofioletowe wzorzyste szorty, strojne szlafroki a la Henri Rousseau czy wytworne pidżamy Ertego, coś w tym stylu, ale po prostu nie mieli czasu na przebranie się, przywieziono ich jak stali, bosonogich, do tej wielkiej hali magazynowej, jako że firma zasypana była zamówieniami, kwiecień to miesiąc największych obrotów. Taak... Jeden z modeli bierze więc jej blankiet zamówieniowy, przypatruje mu się dokładnie, odczytuje jej imię... jakie?

- Jill.

- Odczytuje: „Jill Smith”, potem zgniata blankiet uciskając męskość skrytą w miękkich jedwabnych szortach, podaje papier następnemu wspaniałemu chłopu o dziwnie zarysowanych piersiach, który rozprostowuje go, czyta: „Ooah, Jill Smith”, aż ścisnąc pódupki i wręcza następnemu, ten wygładza papier, wpatruje się weń, odgryza róg i podaje kolejnemu typowi, i idzie to tak dalej przez cały rząd tych modelowych mężczyzn, każdy z nich o szerszych ramionach i bardziej umięśnionym brzuchu niż jego poprzednik, aż wreszcie blankiet trafia w ręce ostatniego, który przysnął usadowiwszy się na jednym z ramion wideł podnośnika, nieporównanie drobniejszego osobnika o szyi tak pięknej, z tak delikatnie pulsującą tętnicą, że aż chciałoby się ją przegryźć, przysłoniętego, a jakże, zielonym suspensorium z jedwabnej mory, wzniesionym teraz i wypchniętym do przodu przez stalowe ramię, na którym siedzi. Mężczyzna podnosi się leniwie, mlaska sennie ustami, odczytuje blankiet, wsiada do podnośnika i odjeżdża, oddala się ku głębokim schowkom, gdzie złożone są merekowe rajstopy.

Oczywiście były głównie podstarzałe Laotanki. Kiedy przydarzył się strajk, byli akurat w czasie robienia zdjęć do katalogu, wszyscy ci młodzieńcy, mieli więc na sobie dokładnie to, co nosili na planie, czyli te ich ulubione ciemnofioletowe wzorzyste szorty, strojne szlafroki a la Henri Rousseau czy wytworne pidżamy Ertego, coś w tym stylu, ale po prostu nie mieli czasu na przebranie się, przywieziono ich jak stali, bosonogich, do tej

wielkiej hali magazynowej, jako że firma zasypana była zamówieniami, kwiecień to miesiąc największych obrotów. Taak... Jeden z modeli bierze więc jej blankiet zamówieniowy, przypatruje mu się dokładnie, odczytuje jej imię... jakie?

- Jill.

- Odczytuje: „Jill Smith”, potem zgniata blankiet uciskając męskość skrytą w miękkich jedwabnych szortach, podaje papier następnemu wspinałemu chłopu o dziwnie zarysowanych piersiach, który rozprostowuje go, czyta: „Ooah, Jill Smith”, aż ściska póldupki i wręcza następnemu, ten wygładza papier, wpatruje się weń, odgryza róg i podaje kolejnemu typowi, i idzie to tak dalej przez cały rząd tych modelowych mężczyzn, każdy z nich o szerszych ramionach i bardziej umięśnionym brzuchu niż jego poprzednik, aż wreszcie blankiet trafia w ręce ostatniego, który przysnął usadowiwszy się na jednym z ramion wideł podnośnika, nieporównanie drobniejszego osobnika o szyi tak pięknej, z tak delikatnie pulsującą tętnicą, że aż chciałoby się ją przegryźć, przysłoniętego, a jakże, zielonym suspensorium z jedwabnej mory, wzniesionym teraz i wypchniętym do przodu przez stalowe ramię, na którym siedzi. Mężczyzna podnosi się leniwie, mlaska sennie ustami, odczytuje blankiet, wsiada do podnośnika i odjeżdża, oddala się ku głębokim schowkom, gdzie złożone są mereżkowe rajstopy.

- Dalej.

- Staje przy górze opakowań, każde z oznaczeniem barwy „płowa”, wsuwa widły podnośnika w prześwity najwyżej leżącej palety, unosi ją i wwwwwww, opuszcza na dół, pruje ją otwierając...

- Pewnie kutasem.

- O nie, nie: mocnymi wypielęgnowanymi dłońmi-powiedziała. - Szeroka taśma sklejąca brzegi robi pap! pap! pap!, gdy rozrywa mocne pudełko. Ale czekaj, skoro już o tym mówimy, to rzeczywiście teraz, gdy on przechyla się i sięga w głąb pudła wypełnionego, no, toną bawełnianych mereżek, jego kutas ociera się o karton opakowania, trze i trze, aż zaczyna wrywać się z uwięzi suspensorium. Więc mężczyzna wspina się znów na siedzenie podnośnika, rzuca na kolana tę parę rajstop i rusza z powrotem. W tym czasie ci inni, Todd, Rod, Sod i Wadd, sami heteroseksualiści, a jakże, stojąc rzędem w oczekiwaniu na niego rozmyślali o Jill Smith odzianej w owe mereżkowe rajstopy, w związku z czym ich ptakom zeszywniały szyje; nawet niemrawy kierowca podnośnika nie bardzo chce zejść do nich, bo, pewnie przez te płowe rajstopy trzymane na kolanach, ma wyraźnego stojaka, tak wielkiego i twardego, że sterczy mu uwolniony z przepaski. Zajmuje jednak swoje miejsce w rzędzie mężczyzn, kogut chwije mu się lekko na boki - podnosi rajstopy do twarzy, wypuszcza przez

nie oddech, po czym kiwa głową, bierze ołówek z niebywale ostrym szpicem i robi znaczek tuż nad numerem na blankiecie. Oddaje sąsiadowi, przestali się już wstydzic jeden drugiego i stoją teraz w rzędzie z obnażonymi członkami, różnymi i na różne sposoby przedzierającymi osłony różnych szlafroków, szortów i podniecająco skąpych majtek. Kierowca podnośnika zatem wyciąga dłoń do sąsiada, ten z rytualnym niemal namaszczeniem odbiera rajstopy i owija nimi swego kutasa, zaciąga mocno ostatni zwój, po czym odwija je z powrotem i robi znaczek na blankiecie, kładąc go dokładnie w miejscu pierwszej parafa. Podaje rajstopy następnemu, który również nawija je na kutasa, długiego, więc tu wiele zwojów, zaciąga, także stawia swój znaczek, i tak dalej przez cały rząd, nawijam-odwijam parafa, nawijam-odwijam parafa, aż wreszcie ostatni z nich składa je zręcznie delikatnymi ruchami, nie pasującymi wręcz do jego potężnych przedramion, wpuszcza do przezroczystej plastikowej koperty i stawia ostatni znaczek nad numerem; można by pomyśleć, że to jedna, zrobiona tępym ołówkiem parafa, gdy naprawdę było ich dziewięć. I teraz razem, zgodnie nucąc „Pieśń burłaków”, zalepiają paczuszkę z adresem Jill Smith i wysyłają ją do niej.

- No, kto wie, może tak się akurat zdarzyło - rzekł. - Chociaż nie, w rzeczywistości nie było żadnego strajku w „Deliques”, kiedy do nich dzwoniłem. Ale komputer mieli zepsuty, to fakt.

- Och, a więc jednak dzwoniłeś? - powiedziała. - No, ładnie, ładnie. Z wanny?

- Nie, w końcu uznałem, że to za dużo szczęścia. Rozmawiałem z nią leżąc na podłodze w pokoju. Najpierw doprowadziłem się do całkiem niezłego obrzmienia, po czym wystukałem numer.

- No i...?

- Odezwała się kobieta, powiedziała coś w rodzaju: „Halo, tu ‘Deliques Intimates’, zapraszamy, przy telefonie Clititia, czym możemy dziś służyć?” Miała cienki, młodo brzmiący głos, dokładnie tak jak sobie wyobrażałem. Moje życiodajne berło skurczyło się natychmiast z czternastu i pół cala do niecałych trzech, a miało być przecież wprost przeciwnie. Powiedziałem jej, co chciałem zamówić, odparła, że zepsuł im się komputer, ale odbierze moje zamówienie „ręcznie”, słyszysz? No i czemu nie starczyło mi odwagi, by odpalić jej czymś dwuznacznym? Niespecjalnego, na przykład: „He-he, maleńka, pewnie wszystko bierzesz do ręki, nie?” Ale zamiast tego powiedziałem tylko: „Jakże mi przykro, musi mieć z tym pani sporo zachodu”. Podałem jej mój adres i numer karty kredytowej, na co ona: „Zapisałam, proszę pana, dziękuję. Czy to już wszystko na dziś?” Odparłem: „Nie, właściwie jest jeszcze jeden drobiazg, który chciałem zamówić jako prezent, para bardzo zwyczajnych majtek, ale sam nie wiem... Widzi pani te wasze ‘Deliques minimes’ na stronie

trzydziestej ósmej? - zapytałem. - Znalazła pani? Ma pani katalog przed sobą?” Potwierdziła. Powiedziałem: „Dobrze. Nie jestem pewien, czy dostrzegam różnicę między tymi minimes a nadja pants, jak wy je nazywacie, na stronie, aa, czterdziestej szóstej. Według mnie wyglądają identycznie”. Powiedziała: „Chwileczkę”, a ja słysząc, jak kartkuje katalog, jeszcze raz desperacko złapałem za kutasa, jako że sam ten pomysł - ona przyglądająca się dokładnie zdjęciom kobiet w tych ich mikroskopijnych majtkach, przez trójkąty materiału widać było ciemne kępy zarostu, w tym samym momencie ja wpatrzony w moje równie poskręcane włosy - powinien wystarczyć, bym eksplodował natychmiast, ale, nie wiem, wydawała mi się tak pełna dobrej woli, zresztą przekonany byłem, że najpewniej, to bardzo prawdopodobne, wcale nie miałyby ochoty dowiedzieć się, że ja akurat próbuję... znaczy, żadna to dla niej przyjemność taka robota, faceci dzwonią do niej i zamawiają parę drobiazgów po to tylko, by móc... rozumiesz? Nie tego oczekiwała podejmując tę pracę, czy też może niezupełnie tego, toteż nawet kiedy wreszcie powiedziała: „Wydaje mi się, że nadja pants leżą odrobinę niżej na biodrach”, stwierdzenie, przy którym każdy normalny konio-bijca powinien spuścić się z łatwością, bo co ono oznacza? Sugeruje jej własne biodra, wskazuje, że te majtki leżały na jej biodrach... ale nawet wtedy nie mógł mi porządnie stanąć. Odparłem więc: „Ach, nie, dziękuję, zobaczę najpierw, jak leżą rajstopy, a potem zamówię minimes”. I tydzień później stałem się właścicielem pary rajstop. Mam je nadal, wciąż nie otwarte. Daj mi swój adres, to z przyjemnością ci je wyślę.

- Czemu nie dałeś ich Jill? - zapytała.

- Och, dla stu tysięcy powodów. Ale czekaj, to jeszcze nie koniec. Odłożyłem słuchawkę po tym zamówieniu i oczywiście stwardniał mi natychmiast, zastanowiłem się więc chwilę, wcisnąłem klawisz powtarzający numer i w słuchawce odezwał się głos innej kobiety, znacznie niższy, kultywowany, na imię miała Vulva czy jakoś tak. Powiedziałem: „Vulva, mam takie niecodzienne, rzec można, pytanie i nie musi pani na nie odpowiadać, jeśli nie ma pani ochoty. Interesuje mnie bowiem sprawa, jak by to powiedzieć, ci mężczyźni zamawiający z waszego katalogu... czy uważa pani, że są wśród nich subtelni czy też może niezbyt nawet subtelni obsceniczni wydzwania-cze?” Zaśmiała się i rzekła: „Tak, to dobre pytanie”. I zamilkła, bardzo długo milczała. Powiedziałem: „Halo?” i w tym samym momencie wiedziałem, że się odkryłem: ton, jakim wypowiedziałem to „halo”, cień piskliwości w głosie zdradzający seksualne podniecenie, zawałyły szansę ewentualnego porozumienia, jakie mógłbym nawiązać z Vulwą, mimo iż zadając jej pytanie brzmiałem zupełnie pewnie.

-1 co ona?

- Powiedziała wtedy, bardziej oficjalnie, ale wciąż przyjaznym głosem: „Wydaje mi się, że nie będę odpowiadać na pana pytanie”. Odparłem: „W porządku, rozumiem, okay, nie ma problemu”. Rzekła: „Pa”. Nie: „do widzenia”, zauważ, a więc wciąż małe ślad rozbudzonej intymności. Gdyby powiedziała „do widzenia”, poczułbym się całkowicie przegrany.

- Co wtedy zrobiłeś?

- Podniosłem się, zamówiłem pizzę, przeczytałem gazetę. Widzisz więc teraz, że nie nadaję się na telefonicznego świntucha. Nie potrafię ukryć orgazmu.

- Ho-ho. A ja tak - rzekła.

- Naprawdę? To znaczy fizycznie tak, chciałem powiedzieć.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć. Zapadła cisza.

- Słyszę stukot kostek lodu - rzekł.

- Dietetyczna cola.

- Aha. Opowiedz mi coś. Opowiedz o pokoju, w którym jesteś. O całym ciągu zdarzeń prowadzących do tego, że zadzwoniłaś pod ten numer.

- Dobrze - odparła. - Nie jestem już w sypialni, siedzę na sofie w mojej bawialni-jadalni. Stopy opieram na niskim stoliku, czego nie dałoby się zrobić wczoraj, bo zawałony był górą poczty i papierzysk, ale dziś to możliwe, jako że cały pokój, całe mieszkanie jest idealnie posprzątane. Wzięłam dzisiaj chorobowe, choć nie byłam chora, coś, czego jeszcze dotychczas w tej pracy nie zrobiłam. Zadzwoniłam do recepcjonistki i powiedziałam jej, że mam gorączkę. Chwila, w której wypowiadałam samo kłamstwo była okropna, ale rany, jaka ulga, kiedy tylko odłożyłam słuchawkę! I cały dzień nie wychodziłam z mieszkania: zrobiłam porządek w najbliższym otoczeniu, pozbierałam rzeczy, odkurzyłam, ułożyłam odziedziczone srebrne sztucce - trzy różne, mocno zdekompletowane zestawy - na blacie stołu, by się im przyjrzeć, zastanawiałam się nawet poważnie, czy ich nie wypolerować, ale w końcu nie chciało mi się do tego zabierać, wyglądało to zresztą pięknie, rozłożone tak na stole, wielki łuk widelców, mały noży, pięć dużych łyżek wazowych, kilka małych płaskich łyżeczek do soli i niewielki zestaw o specjalnym przeznaczeniu, jak widelce do jedzenia ostryg. Ani jednej łyżeczki do herbaty. W zestawie po ciotecznej babce jest widelec, który wpadł mi kiedyś u niej do zmywarki i łopatką wirnika poharatały go paskudnie, ale w pracy ktoś mi mówił, że zna jubilera odnawiającego zniszczone srebra, więc mam zamiar oddać mu ten widelec do naprawy, już go przygotowałam. Pozbierałam nawet wszystkie pozrywane sznurki paciorków i posortowałam je porządnie... czułam się fatalnie, gdy każdego ranka widziałam je wymieszane razem na szafce nocnej, ale teraz są już gotowe do ponownego nawleczenia,

różowe w osobnej kopercie, zielone w osobnej, te weneckie, na wpół kolorowane, w jeszcze innej - i czekają już na stole na odniesienie do jubilera.

- Tego samego, który naprawia srebrne sztucze? - zapytał.

- Tak jest!

- A jak to się stało, że sznurki są pozrywane?

- Jakoś tak zawsze rano, kiedy spieszę się z ubieraniem. Zaczepiam o coś i... Te z jadeitu, moje ulubione, dostałam je od ojca, rozerwałam zahaczając o otwarte drzwiczki mikrofalówki, gdy zbyt gwałtownie podnosiłam z podłogi jakiś świstek papieru. Jeden sznurek pękł, gdy szarpnęło go dziecko mojej siostry, jakżeby inaczej. Ale wszystkie można naprawić i będą naprawione.

- To bardzo dobrze.

- Tak czy inaczej, mieszkanie jest odmienione, serio, nie tylko powierzchownie, ale naprawdę są tu teraz całe nowe obszary niewidocznego ładu. Odkładałam wzięcie prysznicu aż do popołudnia i nie masturbowałam się wcale, bo fakt, że siedzę w domu nielegalnie, udając chorobę, sprawił, że postanowiłam być grzeczna i niewinna przez cały dzień, zjadłam więc wczesną kolację, sucharki Carra z serkiem kremowym i plasterkami słodkiej czerwonej papryki koshernej, absolutna pyszota, i nie oglądałam telewizji, ale włączyłam zamiast niej stereo, którego właściwie ostatnio nie używałam, bardzo szpa-nerska zabawka.

- Tak?

- Kosztowała mnie, o ile pamiętam, jakieś dobre czternaście setek - powiedziała. - Kupiłam ją od kogoś, kto chciał mieć jeszcze wymyślniejszy system. Zupełne wariactwo, ale miałam fioła na punkcie tego faceta. Lubił Thompson Twins i SOS Band i, no, jakżeż się nazywały te inne jego ulubione grupy? Gap Band to jedna. Mid-night Star. I Cameo. Ale to już jakiś czas temu. Nie był specjalnie inteligentny, prawdę mówiąc był w pewnym sensie bardzo tępym i ograniczonym typem, ale był tak zaraźliwie pewien, że wszyscy polubiliby to, co on lubi, gdyby tylko mieli szansę się z tym zapoznać. I był przystojny. Przez prawie cztery miesiące, tyle to trwało, rzeczywiście słuchałam tych rzeczy, ba, życie oddałam... Moje upodobania muzyczne nie wyszły poza Beatlesów słuchanych w podstawówce, wczesnowczesnych Beatlesów... nie podobała mi się właściwie żadna piosenka, która nie miała końca, no, rozumiesz, nie kończyła się akordem, tylko zwyczajnym wyciszeniem.

- I wtedy poznałaś tego faceta - rzekł.

- Właśnie! - powiedziała. - Wszystkie jego ulubione piosenki gubiły dźwięk, większość z nich przynajmniej. Stałam się koneserką wyciszeń. Nakupowałam kaset i puszczałam je strasznie głośno przez słuchawki śledząc bardzo uważnie muzykę, starając się

złapać ten dokładnie moment, w którym ktoś w studiu nagrań zaczynał redukować poziom głośności nagrania czy cokolwiek on tam wyczyniał. Czasem próbowałam robić głośniejsze w tym samym tempie, w jakim on, to znaczy niewidzialna ręka producenta, wyciszał, dźwięk zatem miał jednakowe natężenie. Wpadałam w jakiś swoisty trans, coś jak ty na dywanie, i wydawało mi się wtedy, że jeśli będę robić wciąż głośniejsze, a mam, musisz wiedzieć, cholernie silny wzmacniacz, piosenka nie skończy się, będzie po prostu trwać w nieskończoność. Tak więc to, co uważałam przedtem za rodzaj artystycznego nieładu, tę próbę zasugerowania, że jejku, to my, niebywale zdolna kapela, co to całą noc mogłaby szyć z czapy, tylko ten stary trep producent musiał w końcu nas wyciszyć, żebyśmy nie wypełnili całej płyty jednym monstrualnym utworem, więc to stało się teraz dla mnie takim, no, takim podsumowaniem nadziei. Odkryłam to pierwszy raz w piosence „Ain't Nobody”, szczególnie ulubionej przez tego mojego faceta. „Ain't nobody loves me better”. Znasz to?

- Nieźle śpiewasz! - powiedział.

- Bzdura. Ale tak to leci, pod koniec zmienia się, zaczynasz to słyszeć: fakt, że piosenka zbliża się do końca zaczyna być ważniejszy od poszczególnych tonów melodii, i mimo iż artystka śpiewa równie głośno jak dotychczas, ba, daje z siebie teraz wszystko, walczy, by jej wysłuchać, wydaje ci się, że słyszysz nieunikniony spadek popularności przeboju, ześlizgiwanie się w dół listy, zmierzch kariery piosenkarki mimo tych niezliczo-

- Właśnie! - powiedziała. - Wszystkie jego ulubione piosenki gubiły dźwięk, większość z nich przynajmniej. Stałam się koneserką wyciszeń. Nakupowałam kaset i puszczałam je strasznie głośno przez słuchawki śledząc bardzo uważnie muzykę, starając się złapać ten dokładnie moment, w którym ktoś w studiu nagrań zaczynał redukować poziom głośności nagrania czy cokolwiek on tam wyczyniał. Czasem próbowałam robić głośniejsze w tym samym tempie, w jakim on, to znaczy niewidzialna ręka producenta, wyciszał, dźwięk zatem miał jednakowe natężenie. Wpadałam w jakiś swoisty trans, coś jak ty na dywanie, i wydawało mi się wtedy, że jeśli będę robić wciąż głośniejsze, a mam, musisz wiedzieć, cholernie silny wzmacniacz, piosenka nie skończy się, będzie po prostu trwać w nieskończoność. Tak więc to, co uważałam przedtem za rodzaj artystycznego nieładu, tę próbę zasugerowania, że jejku, to my, niebywale zdolna kapela, co to całą noc mogłaby szyć z czapy, tylko ten stary trep producent musiał w końcu nas wyciszyć, żebyśmy nie wypełnili całej płyty jednym monstrualnym utworem, więc to stało się teraz dla mnie takim, no, takim podsumowaniem nadziei. Odkryłam to pierwszy raz w piosence „Ain't Nobody”, szczególnie ulubionej przez tego mojego faceta. „Ain't nobody loves me better”. Znasz to?

- Nieźle śpiewasz! - powiedział.

- Bzdura. Ale tak to leci, pod koniec zmienia się, zaczynasz to słyszeć: fakt, że piosenka zbliża się do końca zaczyna być ważniejszy od poszczególnych tonów melodii, i mimo iż artystka śpiewa równie głośno jak dotychczas, ba, daje z siebie teraz wszystko, walczy, by jej wysłuchać, wydaje ci się, że słyszysz nieunikniony spadek popularności przeboju, ześlizgiwanie się w dół listy, zmierzch kariery piosenkarki mimo tych niezliczonych a pięknych subtelności, jakie wydobywa ze zwykłego bzdurnego zapisu nutowego, i nawet gdy bierze ostatnią wysoką nutę, pełna odwagi i nadziei, i żarliwości, i wszystkiego co dobre, jest już zgubiona, pogrąża się.

- Och! Nie płacz! - rzekł. - Nie potrafię... Chciałem powiedzieć, że nie byłbym w stanie cię pocieszyć.

Znów zastukotały kostki lodu. Powiedziała:

- Bo, wiesz, naprawdę go lubiłam. Próżny bałwan. Wybraliśmy się któregoś wieczoru na tańce, na parkiecie zblamowałam się w jego oczach propozycją, by przeniósł może wieczne pióro z kieszeni na piersi do kieszeni z tyłu. To wystarczyło, nigdy już do mnie nie zadzwonił.

- To pieprzony pirueciarz! Podaj mi jego adres, a już ja go wyciszę, łapy mu poobrywam!

- Nie, już mi dawno przeszło. Tak czy inaczej, nie o tym miałam mówić. Po prostu siedziałam po obiedzie w moim cudownie uporządkowanym mieszkanku, spojrzałam na to stereofoniczne monstrum i włączyłam klawisze, niebo tymczasem pociemniało, wszystkie te małe czerwone i zielone światełka na odbiorniku przypominały boje oceaniczne albo coś podobnego, a ja, łatwo się domyślić, poczułam się smutna, szczęśliwa, zrezygnowana, napalona, jakaś kombinacja wszystkiego, i nagle uznałam, że byłam wystarczająco długo grzeczna i zdecydowanie powinnam chyba popieścić się, ale pomyślałam, poczekaj, Abby, nie ma co czynić tego tylko z obowiązku, zrób dziś coś trochę innego, coś specjalnego na zakończenie specjalnego dnia, zgoda? Wyciągnęłam więc egzemplarz «Fo-rum», który nadrabiając odwagą kupiłam jakiś czas temu, tyle że czytałam już wcześniej wszystkie te opowiadania i listy i nic w nich mnie teraz nie brało. Zaczęłam przeglądać ogłoszenia, chyba naprawdę pierwszy raz, i znalazłam ten nagłówek: „W każdej chwili”.

- „Niech się stanie”.

- Właśnie to. Poza tym lubię odgłos przerw w międzymiastowych rozmowach, ten szmer, jaki wydaje przewijana kasetka. Ale mimo to nie miałam ochoty rozmawiać z kimś, kogo znam. Więc w gruncie rzeczy dlatego zadzwoniłam. No, odpowiedziałam na twoje pytania, teraz ty coś mi opowiedz.

- Chcesz usłyszeć coś prawdziwego czy coś zmyślonego?

- Najpierw prawdziwe, potem wymyślone - odparła.

- Kiedyś - zaczął - bawiłem się stereo, ze słuchawkami, miałem może szesnaście lat, odbiornik stał na podłodze w małym pokoiku obok bawialni; nie wiem, dlaczego akurat na podłodze, pewnie dlatego, że ojciec malował ściany... tak, chyba tak właśnie było... sznur słuchawek był krótki, ale bardzo chciałem wtedy nauczyć się tańczyć. Była zima, może koło ósmej wieczorem, całkiem ciemno, bo nie włączyłem światła w pokoju. Próbowałem się nauczyć wszystkich kroków, ale byłem spętany, przywiązany do odbiornika, więc musiałem się prawie zgiąć w pół, jakbym tropił jakieś zwierzę, ale byłem naprawdę w ekstazie, tańcząc, bez tchu, wymachując ramionami, podskakując... W pewnym momencie przesadziłem trochę, rzuciłem potężnie głową w bok i słuchawki spadły pociągając za sobą moje okulary... żaden problem, odegrałem podnoszenie okularów z podłogi i wkładanie ich z powrotem, powtórzyłem to kilka razy, włączyłem w mój taniec. I nagle dochodzą mnie słowa: „Jim, co ty wyprawiasz?”, zupełnie przerażony głos. Moja młodsza siostra usłyszała całe to sapanie i dyszenie, jakie wydawałem w ciemnościach, i pomyślała oczywiście, że ja...

- Oczywiście.

- Powiedziałem: „Tańczę”, więc poszła do siebie. Tańczyłem jeszcze przez chwilę, ale już z mniejszym nieco zapalem. Był to rok wytężonego słuchania stereo. W przeciwieństwie do ciebie nie miałem w owym czasie nikogo na oku. Prawdę powiedziawszy, miałem pewnie zajoba na punkcie samego radia. Wyobrażałem sobie, że oznaczenia megaherców tworzą nocny zarys miasta: FM to budynki, AM to ich odbicia w wodzie...

- Tak - rzekła - ale miałeś mi opowiadać coś prawdziwego, nie wymyślonego.

- Zgoda, tyle że to, co prawdziwe, zazębia się ze zmyśleniem, pojmujesz? Mały ruchomy wskaźnik na naszym stereo podświetlony był żółtym światełkiem, znałem na pamięć pozycje wszystkich rozgłośni na skali, kręciłem gałką i wskaźnik przesuwiał się z jednej strony radiowego pejzażu miasta na drugą, niczym taksówka jeżdżąca w tę i z powrotem po którejś z wielkich centralnych ulic, każda stacja była przecnicą, sąsiedztwo to różnoraka mieszanka etniczna, a gdy zapalało się czerwone światełko mówiące „stereo”, objąłem się wtedy przez chwilę, albo też taksiarz gnał bez zatrzymywania, mijając wszystko, co wybuchalo i ginęło gdzieś za mną. Czasem znowu wolniusieńko kręciłem gałką, coś takiego, jakbym zaledwie dotykał kierownicy, dalej i dalej w ciszy wytłumionych odgłosów, by nagle zahaczyć o obrzeże którejś ze stacji i usłyszeć trzask niespodziewanie skocznej, uduziwnionej wersji jakiejś piosenki, przez sekundę brzmiącej znacznie lepiej niż, wiedziałem to, wykonanie oryginalne, coś jak ta chwila przy zaćmieniu słońca, kiedy widzisz całą koronę;

wreszcie zstępowałem w żyzną dolinę dźwięków samej stacji, która rozpościerała się przede mną w swym stereo, bogata pełnią pośrednich i bardziej mglistych odległości.

- To prawda - powiedziała.

- Rzeczywiście? To fatalnie, bo oznacza to, że wciąż czeka mnie opowiadanie ci czegoś wymyślonego, nieprawdaż?

- Obawiam się, że tak.

- Ale moja wyobraźnia nie funkcjonuje ot, tak - rzekł. - Nie włącza się na strzelenie z palców. A o czym miałyby być ta wymyślona opowieść? Co byś chciała usłyszeć?

- Mogłaby być o... o moich paciorkach i srebrach, skoro już rozłożyłam je dla nas na stole.

- No, tak - powiedział, po czym nastąpiła pauza. - Był kiedyś facet, który chciał, hm, zreperować widelec... Nie, nie potrafię. Nie gniewaj się. Ty mi coś opowiedz.

- Ale to twoja kolej.

- Potrzebne mi są wprawdzie twoje zwierzenia. Muszę się nimi naładować, czuć, jak płyną strumieniem.

- Ach, przestań - powiedziała. - Spróbuj po prostu. - Tak, ale naprawdę nie uważam, że możesz mi zlecić podobne zadanie. Jestem całkiem zwyczajny, mogę tylko opowiadać prawdziwe rzeczy.

- Dobrze, opowiedz mi więc o ostatniej rzeczy czy wydarzeniu, które cię podnieciły.

- Pomysł tej rozmowy - odparł.

- Przedtem.

- Daj mi się zastanowić - rzekł. - Błaszany Dzwoneczek w filmie Disneya. Wychodziłem właśnie z wypożyczalni filmów, nagle zobaczyłem wielką reklamę Piotrusia Pana, rysunkowej wersji Walta Disneya, którą wypuszczono właśnie znów na ekrany, i obok monitor telewizyjny pokazujący sam film.

- Kiedy to było?

- Dziś, pewnie jakieś półtorej godziny temu. Wypożyczyłem trzy filmy pornograficzne.

- I masz zamiar obejrzeć je dziś wieczorem?

- Może. A może nie, jeszcze nie wiem. Chciałem puścić je po powrocie do domu.

- Natychmiast po powrocie do domu.

- Zgadza się.

- A co z kolacją?

- Zjadłem pizzę. - Jaką?

- Mała z pieczarkami i sardelami.

- Dobrze. Więc przyszedłeś do domu z taśmami...

- Tak, i położyłem je na telewizorze, rozebrałem się, włożyłem płaszcz kąpielowy...

- Tylko?

- No nie, mam jeszcze pod spodem koszulkę i spodenki.

- Białe?

- Szare, białe, coś w tym odcieniu. W każdym razie wszedłem do pokoju i zobaczyłem stosik taśm porno leżących na telewizorze, wszystkie w pomarańczowych pudełkach. Wypożyczalnia używa brązowych pudełek dla normalnych filmów, przygodowych, komedii, rozmaitych walk itede, i całkiem odrębnego koloru, pomarańczowego, dla filmów dla dorosłych. Wszystko, żeby uniknąć pomyłki, bo tyle jest teraz pornograficznych wersji Kopciuszka czy bożenarodzeniowych historii albo innych tego typu. Dwóch z tych filmów nigdy nie widziałem, ale wiedziałem oczywiście, co mogą pokazywać i byłem za, absolutnie, jestem jak najbardziej za pornografią, to chyba jasne, ale nagle zobaczyłem, wyobraziłem sobie brutalność mojego podniecenia... ujrzałem siebie prześlizgującego się przez nudne kawałki, próbującego złapać sceny naprawdę dobre czy przynajmniej wystarczająco dobre, by mieć przy nich orgazm, i ten szum aparatu, gdy przesuwam szybko taśmę do przodu, czysto mechaniczny odgłos... nie, nagle pomyślałem „nie”, absolutnie, mimo iż na jednej z taśm była Lisa Melendez, która według mnie jest po prostu... no, cudowna, nie, pomyślałem, nie mam teraz ochoty oglądać tych taśm. Na szczęście kupiłem egzemplarz «Juggs»... podobna antypomarańczowa reakcja przydarzyła mi się już wcześniej. Są takie momenty, kiedy potrzebujesz wyłącznie nieruchomych wizerunków.

- Zawsze pozostaje ci przycisk z napisem „pauza” - podsunęła.

- Tak, ale ekran wygląda wtedy jakbyś go cięła piłą.

- Co dwie głowy to nie jedna, jak mówią. Wyobrażam sobie, że na zdjęciu w piśmie rozdzielnosc jest oczywiście lepsza.

- Z całą pewnością - rzekł. - Ale to nie tylko to! Naprawdę, nie śmiej się. Żadna klatka filmowa nie zastąpi fotografii. Fotografia łapie kobietę w momencie, kiedy jej nany osiągną stan doskonałej wyrazistości... ich dusza nagle odkryta, czy raczej ich dusze odkryte, bo przecież każda nana ma własną osobowość. Brodawki na nieruchomych zdjęciach są tak różne i tak wymowne jak kobiece oczy, prawie.

- Nany?

- Taak, bo „piersi” irytują mnie nieraz, samo to słowo i wszystkie jego żargonowe synonimy. Zwróć więc tylko uwagę na spadek pobudliwości, gdy porównujesz zdjęcia w

«Playboyu» z obrazami dokładnie tych samych kobiet, ale już zmieniających pozy w telewizyjnym kanale Playboya. Muszę się od razu przyznać, że mój telewizor go nie łapie, więc jego program dochodzi do mnie poprzez specjalnie zakłócające odbiór linie i zygzaki, przełączam ustawicznie między nim a dwoma innymi kanałami, bo czasem udaje się złapać na chwilę czysty obraz tuż po przeskoczeniu z programu na program, i masz wtedy ten jaskrawożółty tors i jedną całą nanę ze strażacką czerwienią sutki, a potem obraz huśta się, słabnie i przepada. Zauważyłem, że zakłócanie działa najslabiej a odbiór jest najlepszy, kiedy nic się na ekranie nie rusza, to znaczy, kiedy jest to telewizyjny wizerunek wizerunku z pisma, coś jakby potęga utrwalonego obrazka przewyciężyła obwód zakłócający, podobnie jak czasem pokonuje mnie samego. Kiedyś siedziałem skacząc tak po kanałach prawie do trzeciej nad ranem...

- A zatem.

- Masz rację. A zatem przerzuciłem mój najświeższy numer «Juggs» z wielkimi nadziejami, ale coś, wiesz, było nie tak... najbardziej seksowną kobietę pokazano nad basenem kąpielowym, a dla mnie to otoczenie pozbawione erotyzmu... chcę powiedzieć, że ogólnie wydają mi się mało erotyczne, w końcu oglądałem już Bóg wie ile podobnych inscenizacji w różnych pismach, ale ta jawność zewnętrzności, bycia na słońcu... nie jest to aż tak złe jak scena na plaży, coś zupełnie odpychającego... znowu, gdybym miał wylądować na bezludnej wyspie z kilkoma tylko stronami z męskiego pisemka, pokazującymi nagą kobietę na bezludnej wyspie właśnie, pretensjonalne plamy piasku na półdupkach i tak dalej, pewnie bym się wtedy złamał i masturbował oglądając je... Co powiesz o tym słowie?

- „Masturbować się”? Ani go nawidzę, ani nienawidzę.

- Wymyślmy na to jakieś nowe określenie - rzekł.

- Czasem mówię, że się „wydygotałam”.

- Owszem, może być. A co byś powiedziała na „rzępolenie”? Zrępolić się, co? W tej formie całkiem rajcujące... Nie, nie: „brzdąkać”.

- Brzdąkać.

- Tak, to właśnie to. Przeglądałem więc «Juggs» i choć sceneria miała basen w tle, próbowałem się wy-brzdąkać, bo było jedno zdjęcie, z którego kobieta spoglądała wprost na mnie, łokcie opierała na żółtej dmuchanej tratwie, jej nany to w tym momencie piękno wcielone, sutki nie sterczące, ale miękkie, zaokrąglone i łagodne, właśnie takie, jakie trzeba mieć na zdjęciach z basenem, bo ze sztywnymi sulkami kojarzy ci się zimna woda, a nie pobudzenie. Musisz przy tym wiedzieć, że nie należę do tych żalonych facetów, co to w supersamach kręcą się przy półkach z mrożonkami po to tylko, by zobaczyć, jak kobietom

twardnieją w tym zimnie sutki. Nie mam również najmniejszej frajdy z pokazów „mokrych koszulek”, ponieważ muszę czuć, że kobieta także odczuwa podniecenie, a zimna woda wcale przecież temu nie sprzyja, z wyjątkiem gdy, przy podobnym pokazie, jestem w stanie wmówić sobie, że wstrząs spowodowany strumieniem zimnej wody, całe to prychanie i pryskanie służy jej do zrobienia czegoś, czego w innych okolicznościach zrobić by nie mogła, mimo iż ją to podnieca: jeśli, widzisz, ona chce pokazać swoje piersi, jeśli jest z nich dumna i jednocześnie zdaje sobie sprawę, że nie jest osobą, która zacznie się rozbierać dla pieniędzy czy coś w tym stylu, zimna woda rozprasza podobne myśli na tyle, by wiedzieć, że w końcu wszystko ma być nieszkodliwą zabawą... wtedy, owszem, zdjęcia kobiet w takich mokrych koszulkach mogą mnie podniecić. Rozumiesz to?

- Owszem, teraz widzę. Przypatrywałeś się zatem kobiecie w «Juggs»...

- Tak, ona zaś spoglądała wprost na mnie, pociągająco, z jakże klarownym wyrazem radosnego zadziwienia, jej łokcie wbijały się tak głęboko w poduszkę żółtego materaca, że zdawał się nieomal pękać, i prawie już gotów byłem wybrzdąkać się przy tym zdjęciu, ale jednak nie, zbyt wiele rzeczy mi nie pasowało: fotograf splótł jej włosy w mysie ogonki powiązane jakimś grubym, ciem-noróżowym sznurkiem ze sztucznego tworzywa, wyglądało to tak odrażająco, rozumiesz, ten odwieczny męski bzik, to wmawianie sobie, że wystarczą warkoczyki, ów atrybut dziewczynkowatości, by dwudziestośmioletnie kobiety stały się dziewczynkami, choć powiedz sama, kiedy tak naprawdę ostatni raz widziałaś jakąś małą z mysim ogonkiem? Pomijam już w ogóle fakt, że małe dziewczynki są właściwie odpychające. Jest więc tu ta piękna, ożywiona i powabna niewiasta, ale co z tego, skoro bałwan fotograf wcisnął jej jakiś nylonowy postronek: „Dobra, teraz zawiąż to we włosach”. Poczulem w tym momencie, że chcę rozmawiać z prawdziwą kobietą, żadnych wyobrażeń, jakichkolwiek, żadnego szybkiego przewijania czy pauz, żadnych obrazków w pismach. I znalazłem ogłoszenie.

- Ale dzwoniłeś już wcześniej pod te numery, zgadza się? - spytała.

- Parę razy, tyle że bez większego powodzenia. Wydaje mi się zresztą, że tego akurat numeru, 2VOX, nie próbowałem.

- Co rozumiesz przez „brak powodzenia”?

- Żadnej kobiety z ikłą. Albo raczej w ogóle parę tylko kobiet, poważnie, bo nie liczę tych, którym agencje telefoniczne płacą za prowadzenie czysto mechanicznej gadki o seksie i okazjonalne postękiwania. Przeważnie zgłaszają się mężczyźni pytając: „Hej, są tam jakieś dziewczyny?” Choć czasem, owszem, zadzwoni prawdziwa kobieta. I wtedy przynajmniej pojawia się nikła szansa, że coś może zaskoczyć, pewien rodzaj porozumienia, nie tak jak z

obrazkami. Być może jestem zarozumiały twierdząc, że my, ty i ja, nawiązujemy porozumienie, ale szansa przecież istnieje.

- Owszem.

- W pewnym sensie przypomina to radio. Czy uwierzysz, że ani razu nie kupiłem płyty? Przypuszczalnie dlatego nigdy nie dostrzegłem roli wyciszenia, o czym tak opowiadałaś, ponieważ w radiu jedna piosenka stapia się z drugą. Ale wydaje mi się, że naprawdę trzeba poznać ten rodzaj szczęścia, jaki daje słuchanie muzyki rozrywkowej przez radio, gdyż chodzi tu w końcu o spotkanie, znalezienie między zilionami ludzi na świecie tej jednej sympatycznej ci osoby czy też kilku odpowiadających ci ludzi. W wypadku kupna płyty albo taśmy ty decydujesz o chwili, w której chcesz ich słuchać, choć przecież w gruncie rzeczy chodzi ci o szczęśliwy traf, dobry los, chcesz przebiegać po całej skali, szukać tego jednego utworu, pełna nadziei, że któraś z rozgłośni będzie go nadawać... i radość, kiedy natykasz się wreszcie na wybraną muzykę, jest tak ogromna! Ty go nie słuchasz, ty go podsłuchujesz.

- Z drugiej zaś strony - rzekła - posiadanie taśmy oznacza, że wiesz coś niecoś o sobie: znasz swój gust i potrafisz zgotować sobie przyjemność nie zdając się na błędzenie w zamęcie przypadkowych zjawisk, pełen biernej ufności, że jakiś prezenter puści twój utwór. Może kiedyś, gdy byłeś mały, zdarzyło ci się wyjść na nasłoneczniony balkon i pomyślałeś wtedy: „Jejku, nie przypuszczałem, że to tak wspaniałe”. Ale później zaczęłaś myśleć: „Wiem, że gdy wyjdę na balkon i usiądę na leżaku, będę czuć ten szczególny rodzaj zadowolenia, mam więc ochotę doświadczyć tego właśnie teraz”.

- No, właściwie masz rację, gdyż zadzwoniłem pod ten numer dlatego, że przyjemności, jakich oczekiwałem, nie sprawdzały się, a tu mogłem mieć nadzieję trafienia, że ja, że zdarzy się rozmowa, która...

- Nie opowiedziałeś mi dotąd, co w końcu było z tym Disneyowskim Błaszany Dzwoneczkiem, w wypożyczalni filmów.

- A, prawda. Więc w scenie, którą widziałem, pierwszy raz zresztą oglądałem ten akurat film, musisz poza tym pamiętać, że byłem już trochę podekscytowany, w teczce miałem trzy pomarańczowe filmy i magazyn, a zatem w tej scenie Błaszany Dzwoneczek fruwa dziarsko w tę i z powrotem, towarzyszą jej dźwięki ksylofonu i lecą małe iskrzące gwiazdki, myślisz sobie: „W porządku, typowy dobry duszek, a-ha”. Jest to malutka, podmiejska calineczka, rzeczywiście może ma pięć cali. Taka nieistotna, magiczna, wdzięczna disneyowska kobietka. Ale nagle jest coś takiego: zawisa w powietrzu, spogląda na siebie, na swoje małe piersi...

- Myślałam, że nie lubisz tego słowa.

- Masz rację, ale czasem akurat pasuje. Prawdę powiedziawszy, pasuje w większości przypadków. Ma więc niewielkie piersi, ale całkiem obfite bioderka i obfite udka, ubrana jest w jakieś skromniutkie wdzianko, ob-szarpane albo nierówno obcięte i ledwo ją okrywające, spogląda po sobie, pyszna odęta twarzyczka, kładzie dłonie na biodrach, jak gdyby chciała je zmierzyć, po czym kręci smutnie głową: za grube, za grube. Och, jak mnie to wzięło! Elfik z grubymi biodrami. I sekundę później przepada w szufladzie komody pośród masy przyborów do szycia, próbuje wyfrunąć przez dziurkę od klucza, ale... nic z tego, ma za szerokie uda, utknęła!

- Można się napalić.

- Pewnie.

- Pamiętasz tę scenę z Mężczyźni wolą blondynki, kiedy Marilyn Monroe chce precyzyjnie się przecisnąć przez iluminator na statku, ale jej uda są zbyt szerokie?

- Tego nie pamiętam. Muszę to wypożyczyć.

- Śmieszne, gdyby to akurat Błaszany Dzwoneczek zainspirowała Marilyn - powiedziała. - Zresztą, wiesz, dla mnie ten Disneyowski Piotruś Pan też ma jakieś seksualne podteksty.

- Ba, jasne... z Barriego był przecież stary jebaka i na pewno coś ze smaku owych zakazanych owoców przedostaje się do każdej wersji.

- Dziewczynka szybuje wkoło, ubrana w nocną koszulkę - powiedziała. - To mnie naprawdę zainteresowało. I jest już za duża, by mieszkać w jednym pokoju z mniejszymi dziećmi, to też pamiętam. Oglądałam to razem z Pamelą, moją koleżanką, która zdaje się była lesbijką, biedactwo. Budowałyśmy namiot w jej sypialni i zjadając „Saltines” czytałyśmy razem encyklopedię medyczną. Kropkowane linie na rysunkach pokazywały, którędy pójdzie skalpel chirurga wycinającego kawałek chrząstki usznej, jeśli na przykład ktoś chciał zoperować sobie odstające uszy. Na końcu każdego hasła padało zwykle pytanie, bo to wszystko było w formie pytań i odpowiedzi: „Kiedy można znów rozpocząć współżycie małżeńskie?” Odpowiedź niezmiennie wymieniała cztery, maksymalnie sześć tygodni. Niezależnie od tego, którędy szły przerywane linie, moment rozpoczęcia współżycia małżeńskiego zawsze był ten sam, cztery do sześciu tygodni. Czytałam jej na głos artykuły. Kiedyś ona przeczytała mi w ciągu jednej nocy jakiś romans. Zasnęłam gdzieś w połowie, później przebudziłam się... Pamela miała lekką chrypkę, ale czytała dalej. A innym razem, może nawet tej samej nocy, opowiedziałam jej swoją erotyczną wizję, parę razy już mi się zdarzyła: jestem w jakimś miejscu, ktoś każe mi się rozebrać do naga i wejść do rury.

- Przepraszam, gdzie masz wejść?

- Do rury, tunelu, kanału - rzekła. - Wślizguję się do środka, stopy najpierw, i zacznę posuwać się w dół rury, cholernie długiej, niesiona jakimś powolnym prądem oleju. Pamiętasz z pewnością te wodne zjeżdźalnie, jakie stawiało się w ogródkach, niszczyły kompletnie trawniki? Więc ta nie pozwalała poruszać się tak szybko, jazda była znacznie wolniejsza, ale za to bez tarcia, w dodatku rura była oświetlona. Sunęłam do przodu, gdy nieco przede mną pojawiła się para rąk wymachujących ślepo na wszystkie strony, szukających, chcących czegoś dotknąć; moje stopy prześlizgnęły się tuż pod nimi, dłonie usiłowały schwycić mnie za kostki, ale tłusty olej ściekał im z palców; przemknęłam dalej, a dłonie przesunęły się w górę po moich nogach, trzymały mocno, ale dzięki olejowi nie czułam żadnego obcierania, zaczęły przyciskać, gdy brzuchem byłam pod nimi, a potem jakby odwróciły się na przyjęcie moich piersi, oba kciuki pra-wie-prawie ich dotykały, po czym przebiegły po nich wolniutko popychając je w górę, a, słuchaj, w tym widzeniu miałam naprawdę duże i ciężkie piersi, sporo czasu więc trwało, zanim dłonie przemierzyły je w całości.

- Nno...! Co na to biedna Pamelka?

- Gdy skończyłam opowiadać, spytałam, czy jej też trafiają się podobne myśli, ale zaprzeczyła oburzonym głosem: „Nie!” Powiedziała: „Absolutnie! Ale opowiedz mi jeszcze coś”. Myślisz, że może to ta moja rura zamieniła ją w lesbijkę?

- Mnie z pewnością by zamieniła. Ale poczekaj, ustalmy jedną rzecz: w pokoju, w którym siedzisz, tej kombinowanej bawialni-jadalni, światło jest w tej chwili zapalone czy zgaszone?

- Zapalone, sama lampa stołowa. Mogę ją wyłączyć, jeśli chcesz.

- Może, może to byłoby...

- Posłuchaj - nacisnęła przełącznik.

- Twoja srebrna zastawa lśni teraz w blasku księżyca, prawda? - powiedział.

- Nie potrafię tego dostrzec.

- Zwróciłaś może kiedyś uwagę na tę krótką chwilę w filmie, chociaż częściej chyba w programach telewizyjnych, kiedy któraś z bohaterek nachodzą melancholijne myśli, albo pełne wewnętrznego spokoju, na ekranie powiększenie twarzy, ona sięga za siebie i wyłącza lampkę nocną, pstryk, tyle że to oczywiście jest plan filmowy, wszędzie skomplikowane zespoły świateł, zatem przekręcenie przez nią tego niepozornego wyłącznika musi być zgrane z odcięciem prądu do głównych lamp, bziionk, kłopot jednak w tym, że filmu nie sposób kręcić w ciemnościach, światło jest niezbędne, ale tu musi stwarzać złudzenie ciemności,

więc w tym samym momencie gasną wielkie żarowy, a włączają się te pozorujące światło księżycza czy lamp ulicznych za oknem, tym niemniej nadal mamy problem z tym minimalnym, milisekundo-wym opóźnieniem, kiedy druciki księżycowych lamp rozżarzają się, by świecić pełną mocą, i w owym momencie zmiany możesz dostrzec nad łóżkiem i na ścianach drugi zestaw świateł mających sugerować „ciemne wyciszone pomieszczenie”. Zauważyłaś to kiedykolwiek?

- Nie - powiedziała - ale brzmi to bardzo interesująco. Zwrócę na nie uwagę przy najbliższej okazji, obiecuję.

- Postaraj się - rzekł. - Tymczasem mogę ci z przyjemnością powiedzieć, że prawdziwe latarnie przed moim oknem zaczynają się zapalać. Zupełnie niesamowite zjawisko: nie włączają się od razu, jak w tej mojej opowieści. Rozjaśniają się bardzo, bardzo powoli, blisko dwadzieścia minut. Zaczyna się od ciemnopomarańczowej barwy. Naturalnie bardzo rzadko mam czas, by się temu przypatrywać, zbyt wiele mam zajęć, ale gdy już mi się uda, wtedy cieszę się pięknem tego zjawiska. Trwa tak wolno, łagodnie, że nie wiesz właściwie, czy to światła rozpalają się i jarzą coraz jaśniej, czy też niebo ciemnieje... jedno i drugie oczywiście, ale nie sposób powiedzieć, czy i jak się wyprzedzają, aż wreszcie następuje chwila, jeszcze jakieś pięć minut, kiedy światło latarni jest dokładnie koloru nieba, naprawdę ma ten sam zielono-fio-letowo-żółto-jeszcze jakiś odcień, i można pomyśleć, że w drzewie po drugiej stronie ulicy, pośrodku jego korony, jest dziura, przez którą przebija się niebo, a to przecież tylko latarnia po tej stronie jezdni.

Zapadła cisza.

- Słuchaj - powiedziała. - To się robi kosztowne, dolara za minutę czy ile tam...

- Dziewięćdziesiąt pięć centów za pół minuty, o ile pamiętam.

- Daj mi lepiej swój numer i teraz ja zadzwonię - rzekła.

- W porządku. Ale... - Tak?

- Ale będziesz wtedy musiała zapalić światło, by go zapisać - powiedział.

- Co ty opowiadasz? Mam dobrą pamięć do numerów.

- Och, pewien jestem, że lepszą niż ja. Ale co będzie, jeśli w tym jednym wyjątkowym przypadku numer wypadnie ci z pamięci?

- Dobrze, na wszelki wypadek zapalę więc światło i zapiszę.

- No, a jeśli zapiszesz go źle, choćby dlatego, że to taka niezwykła pora, i pierwszy raz w życiu przestawisz dwie cyfry?

- Dysleksja seksualna.

- Właśnie! Albo jeśli odłożysz słuchawkę, pójdziesz po następną dietetyczną colę i uznasz potem, że nie, to absurd, nie chcę do niego dzwonić? Skąd mam wiedzieć, czy nie będziesz chciała nie dzwonić?

- Zrobię to na pewno - powiedziała. - Podoba mi się nasza rozmowa. Oddzwonię, bądź spokojny.

- Dobrze, ale co będzie, jeśli wykręcisz numer, a z powodu przerwy w połączeniu, nawet tylko jednonumitowej, odmieni się nastrój i nagle będzie nam ze sobą niewygodnie, będziemy sztuczni, nigdy już nie uda nam się wrócić do intymnej zażyłości, jaką chyba osiągnęliśmy bez trudu za pierwszym razem?

- W porządku, przekonałeś mnie. Możesz mi nie dawać swojego numeru.

- Słuchaj, naprawdę uważam, że dwa dolary za minutę takiej rozmowy to jest n i c. Potrzebuję jej i gotów byłbym zapłacić nawet dwadzieścia dolarów. Poza tym nie musimy wcale kończyć, przynajmniej moje ogłoszenie mówiło wyraźnie: „Czas nie ograniczony”.

- Dobrze - powiedziała.

- To dobrze, a ja w zamian za to, że mi uległaś, będę próbował zrobić coś z tym twoim spadkiem leżącym na stole. Czekaj, co by tu... A zatem był kiedyś facet, który zorganizował duże przyjęcie, kolację dla tuzina osób, nie w jego stylu wprawdzie, ale wykonał to tak czy siak, i gdy wszyscy wyszli, zaczął sprzątać, lekko czymś przygnębiony. Poznosił talerze, kieliszki i sztućce, aż przysiadł, bo nigdy jeszcze nie widział koszyka w swojej zmywarce tak nafaszerowanego srebrnymi sztućcami. Wepchnął weń ostatni widelec, ale nie mogąc się już doczekać zamknięcia maszyny i pójścia wreszcie do łóżka, nie sprawdził, czy widelec spoczął poprawnie w koszyku... traf chciał, że nie, jako że sztućce były już tak ciasno poupychane, że powinien był oczywiście pomanewrować nim, by nie mógł się wysliznąć. Zmywarka była starego typu i kiedy pierwszy mocny strumień wody z wirnika obluzował widelec, ten wypadł tak, że zatrzymał się dyndając dziwacznie między talerzem a wygiętym lekko uchwytem rondla, ząbkami do góry; rondel był na tyle nisko, że dysza wodna uderzyła w uchwyt z pełną mocą szczerbiąc widelec; pchnęła go wprawdzie w górę, ale nie zepchnęła całkiem na bok, wpadał więc raz za razem pod obracającą się dyszę, coraz bardziej pokiereszowany, więc gdy wreszcie facet wrócił do kuchni i wyłączył okropnie hałasującą zmywarkę, widelec był w tragicznym stanie. Osuszył go papierowym ręcznikiem, ostre brzegi rys darły miękką bibułę... tego już nie mógł znieść, chciał nieomal wyrzucić widelec, poszedł do łóżka bardzo zdeprimowany, zastanawiając się, co to wszystko ma znaczyć. Podoba ci się? W tym samym mieście był sklep jubilerski, według niektórych zbyt podążający za modą, wciąż jednak

bardzo przyjemne miejsce: nie było tam diamentów ani szmaragdów czy konwencjonalnych drogich wyrobów, nazywał się zresztą

„Kamienie półszlachetne Harveya” od imienia właściciela i prezentował głównie rzemiosło artystyczne i tego rodzaju drobiazgi. A ty tam właśnie pracowałaś.

- Ja?

- Bo to, rozumiesz, było tak: studiowałaś na uniwersytecie, zrobiłaś dyplom ze złotnictwa, do tego jakieś podyplomowe kursy mocowania wisiorów i wiercenia koralików i zorientowałaś się, że masz doskonale oko, potrafisz rzeczywiście robić biżuterię: bransolety, kolczyki, naszyjniki przede wszystkim, która prezentuje się doskonale na ludziach, a nie tylko w wystawowych gablotach; prawdę mówiąc twoje prace wystawione wyglądały czasem nieco dziwnie, jakieś niepewne siebie gruzły, ale na ludzkiej postaci... bosko. Skończyłaś więc studia, czas teraz znaleźć jakieś zajęcie, pokazujesz zatem swoje najlepsze prace różnym jubilerom, ale wzbudzasz mieszane uczucia, świat doprawdy nie jest jeszcze gotów na przyjęcie twojej sztuki, w końcu trafiasz do Harveya, którego przedtem omijałaś, bo to w pewnym sensie degradacja: kiedyś odbywał się tu nielegalny handel narkotykami, sam Harvey to podstarzały typ o staroświeckim, można by powiedzieć, zapachu, zbierający ozdobne papierosnice z lat dwudziestych; czemuś cię ta kolekcja zasmuca, rozmawiasz z nim jednak, wydaje się miły i bardzo mu się podobają twoje prace, decydujesz więc: „Niech będzie”. Przyjmując cię stawia jeden warunek: musisz pracować w sklepie, w małej oszklonej alkowie stanowiącej jakby przedłużenie jednego z okien wystawowych, tak że przechodnie mogą obserwować cię z ulicy. Jesteś trochę niezdecydowana, ale Harvey odsuwa zasłonę i prosi cię, byś usiadła w środku; pomieszczenie, jak się okazuje, jest bardzo przyjemne, po obu stronach ma pełno małych poręcznych szufladek z drewna, cały zestaw narzędzi złotniczych zamocowanych na sprężynowych zaciskach, i śliczny płomień, piękny niebieski płomień o żółtym końcu... naprawdę bardzo przytulny kąt, mimo że oczywiście widać go z ulicy, a więc bierzesz tę pracę. Harvey nie mógłby chyba być lepszym szefem... traktuje cię z przyjacielską ironią, a gdy zrobisz rzecz, która szczególnie przypada mu do gustu, mówi o niej z uznaniem i wychwala cię. Instaluje w sklepie specjalną gablotę na twoje tylko prace, nie oburza się, kiedy czasem przychodzisz spóźniona. W ciągu pierwszych miesięcy zaczynasz serię bransolet, prostych eleganckich bransoletek ze srebra, które Harvey wystawia w gablocie. Wielu spośród klientów zaglądających do sklepu to oczywiście mężczyźni szukający biżuterii dla wybranek serca, brak im pewności, a chcą być przeświadczeni, że wybór bransoletki właśnie był słuszny, oto dlaczego Harvey nabiera zwyczaju zaglądania do ciebie i pytania, bardzo grzecznie i z ociąganiem, czy nie miałabyś ochoty wyjść zza zasłony i pokazać

zainteresowanemu klientowi, jak ta srebrna opaska wygląda na prawdziwej kobiecej ręce. Nieco to dla ciebie ambarasujące, bo w końcu to twoje dzieło, ale zdejmujesz ciemne ochronne szkła, poprawiasz dłońmi włosy i oto jesteś, wchodzisz do wnętrza, idziesz w stronę uśmiechniętego Harveya i otwartej gabloty z kołyszącym się kluczykiem, a nerwowy mężczyzna, chcący wybrać coś szybko dla swojej żony albo kochanki, stoi obok; wyciągasz ramię, Harvey zapina bransoletę, usta mężczyzny poruszają się, otwiera się książeczka czekowa i już, nic prostszego, poszło. Sprzedajesz w ten sposób dziesięć, może piętnaście bransoletek, zachęcona sukcesem robisz ambitne plany, projektujesz i wykonujesz naszyjnik, bardzo prosty, ale ozdobiony trzema kamieniami, o które wystarał się dla ciebie Harvey, pośrodku maleńki chryzolit, a z obu stron dwa pięknie połyskujące nie oszlifowane spermulity, czyli, jak doskonale się orientujesz, skamieniałe krople nasienia dinozaura. Trudno o coś bardziej gustownego - sama się dziwisz, jak bardzo udała ci się ta sztuka, żadna z twoich uniwersyteckich prac nie może się z nią równać. Harvey jest w siódmym niebie - wiesz naszyjnik na rozstawionych palcach, suchych i ściemniałych od polerowania srebra, i kręci w podziwie głową, a ty jesteś bardzo szczęśliwa, szczęśliwa, że odkryłaś swoje powołanie i szczęśliwa, że znalazłaś pracę u człowieka równie dobrego jak Harvey. Naszyjnik zawisa zatem w gablocie, nie tak może eksponowany, jak mu się w twoim przekonaniu należy, Harvey zaś upiera się przy wycenieniu go bardzo wysoko, zbyt wysoko, by udało się go sprzedać, myślisz nawet, ale tym razem Harvey nie daje się przekonać. Mija kilka tygodni, sprzedajesz kilka mniejszych rzeczy, pierścionek, jakieś kolczyki, naszyjnik jednak nie znajduje nabywcy. Zaciekawiona, podglądasz zza zasłony, jak Harvey prowadzi klientów do twojej gabloty, ale zauważasz, że unika jakby zwracania uwagi gości na tę wyjątkowo piękną sztukę, wręcz zmienia temat, gdy o niej mówią. Uświadamiasz sobie, nie bez swoistej satysfakcji, że Harvey się chyba w tobie podkochuje, aczkolwiek zbyt jest delikatny, by poruszyć w ogóle ten temat... nie patrzy już na ciebie, gdy wyciągasz do niego rękę, by założyć na nią bransoletkę, którą ktoś chce kupić. Zaczynasz rozumieć, że on wcale nie chce sprzedać twojego wspaniałego naszyjnika ze spermulitami, ponieważ boi się, że gdy to zrobi, straci również ciebie. I czujesz, że prawdopodobnie ma rację: dopytuje się od pewnego czasu, czy jesteś zadowolona, czy masz wszystkie potrzebne narzędzia. W witrynie sklepu Harveya z pewnością wysiadywały wcześniej inne dziewczyny, wszystkie odeszły znęcone większymi rzeczami, wyższymi honorariami, żadna z nich jednak, podejrzewasz, nie wywarła na nim takiego jak ty wrażenia.

- Zrobiłam się trochę zarozumiała, prawda? - rzekła.

- Owszem, tak, ale przy tym jesteś również skonfundowana. I któregoś ranka siedzisz w swojej szklanej alkwie przy pracy, podnosisz wzrok... z nosem przy szybie stoi jakiś typ i gapi się na ciebie. Skłaniasz głowę, przyzwyczaiłaś się już do podobnych scen, on się odklania. Ubrany w garnitur, ma ze sobą coś, co wygląda na owinięty w papierową serwetkę widelec. Spogląda na szyld wiszący nad sklepem i słyszysz, jak wchodzi do środka i rozmawia z Harveyem. Harvey wydaje się być rozdrażniony. Dobiegają cię jego słowa: „Ona nie będzie sobie zawracać głowy taką błażostką”. Typ mówi coś, w głosie brzmi usilna prośba. Harvey odpowiada: „Nie, poważnie, naprawdę nie”. Wystawiasz wtedy głowę zza zasłony. Obaj mężczyźni spoglądają na ciebie, Harvey mówi: „Próbuję właśnie wytłumaczyć temu panu, że jesteś artystką i nie możesz tracić czasu na naprawę jego widelca. A on nie chce, żebym ja to robił, tylko ty”. Typ w garniturze jest zażenowany, unosi ramiona w górę. Wychodzisz do środka; ściągasz ochronne rękawice i kładziesz je beztrudnie na kolekcji rzadkich odznak reklamowych. Masz na sobie bluzkę w małe zielone i czarne gwiazdki, czarne spodnie i czarne tenisówki. Wyciągasz dłoń po widelec, typ wręcza ci go. Mówisz: „Maszyna do zmywania, prawda?”, a typ kiwa głową potakująco. Potem: „Harvey, minuty mi to nawet nie zajmie”, na co Harvey: „Doskonale! Rób jak chcesz!” i siada obok kasy wbijając spojrzenie przed siebie. Jest wściekły. Zwracasz się do typa: „W południe będzie gotowe” i wycofujesz się do swojego kąta w oknie. Sięgasz znów po rzecz, nad którą pracowałaś, brosza albo zapinka, ale nie wychodzi ci najlepiej. W pewnym stopniu straciłaś natchnienie, jako że Harvey nie sprzedał dotychczas twej najpiękniejszej sztuki. Rzucasz okiem na odłożony widelec i nagle wyczuwasz czyjaś obecność za oknem, podnosisz wzrok: ten sam typ. Patrzysz na niego pytająco, on wzrusza ramionami jakby mówił: „Proszę się mną nie turbować”. Nie odchodzi jednak. Spoglądasz znów na broszkę, ale nie podoba ci się, nie chcesz, żeby pan Widelec zobaczył ją i uznał, że jest typowym dla ciebie okazem. Odkładasz więc ją na bok, przytrzymujesz delikatnie uszkodzony widelec kilkoma małymi zaciskami, wkładasz ochronne rękawice i zaczynasz manewrować płomieniem palnika po szczybach. Naprawy to domena Harveya, nie masz więc zbyt wielu okazji do zajmowania się podobną pracą, ale odkrywasz teraz, że, odpowiednio dozowana, jest bardzo zadowalającą i kojącą czynnością. Nie możesz naturalnie przywrócić sztucca do nienagannego stanu: zgrzewasz nierówności aż stają się gładkie i w końcu otrzymujesz całkiem przyjemną, nieregularnie pocętkowaną i bardzo świecąca powierzchnię. Zadowolona jesteś, że masz swoje ciemne ochronne szkła: spoglądasz potajemnie w górę, samymi tylko oczami, i widzisz faceta od widelca, jak stoi zmiękczonej niemal, przyglądając się twoim działaniom. Rozpuszcza się, roztapia, stapia z tobą. Zanurzasz widelec w naczyniu z wodą... typ uśmiecha się. Wraca do

sklepu - wychodzisz ze swej alkowy - Harvey podnosi wzrok. Wręczasz mu sztuciec, ogląda go i mówi: „Dwanaście dolarów”. Mister Widelec płaci dwanaście dolarów, odbiera naprawioną zastawę i dziękuje Harveyowi. Mówi potem: „Ciekaw byłem, jak się to robi. Proszę mi wybaczyć, że zabrałem jej czas”. I pyta: „Jest artystką, powiedział pan. Mógłby mi pan pokazać coś, co zrobiła?” Wolno, powoli Harvey pochodzi do gabloty, otwiera ją i wzdycha. Typ pochyla się bardzo nisko nad biżuterią, głowę praktycznie wkłada do gabloty. Obserwujesz to wszystko, dopiero teraz zauważasz, że włosy zebrane ma jakby w koński ogon. Typ wskazuje naszyjnik i mówi: „Chciałbym się temu przyjrzeć”. Harvey patrzy na ciebie, jego spojrzenie jest prawie błagalne, ale nie odzywasz się. Harvey podjął zdaje się jakąś decyzję, bo mówi ze smutkiem: „To najlepsza rzecz w całym sklepie”. Zdejmuje naszyjnik z małej podstawki i podaje go Widelcowiczowi, który ponownie przygląda mu się z bliska, unosząc go w górę. Harvey pyta: „Pewnie dla narzeczonej, tak? Jaką ma cerę, jasną czy ciemną?” Widlecki kręci, mówi: „Właściwie nie wiem, dla kogo to ma być”. Harvey znów spogląda w twoją stronę, nie odpowiadasz, przełyka więc ślinę i mówi, szepcze prawie: „Naprawdę dostrzeże pan cały urok wtedy dopiero, gdy zobaczy go pan na szyi kobiety”. Facet od widelca odpowiada: „No tak, szkoda”. Pyta o kamienie, Harvey wyjaśnia, typ kiwa głową. Wreszcie Harvey, wyprowadzony już niemal z równowagi, mówi: „Słuchaj pan, ona go zrobiła, zna każdy szczegół i powie panu wszystko, co pan chce wiedzieć, ja idę coś zjeść”. Odwraca się do ciebie: „Pokaż mu to, dobra?” Chwyta marynarkę i wychodzi, zamykając drzwi z niezwykłym u niego impetem, aż tabliczka z napisem „Otwarte” przekręca się na stronę „Zamknięte”. I, i...

- Mhm-hmm?

- Nie, to już wszystko, całą porcję wywaliłem doprowadzając was do spotkania.

- Nie! Chcesz się teraz wycofać?! Powiedz, naprawdę się zwałeś, czy ty tylko tak... metaforycznie?

- W tej chwili jestem jak najdaszy od tego. To przecież robota, zbliżyć was do siebie. Czuję, że lada moment mogę coś pokręcić w tej opowieści. Bardzo to stresujące.

- Słuchaj zatem - powiedziała. - Harvey wychodzi tak trzaskając drzwiami, że na tabliczce pokazuje się „Zamknięte”, ja zaś, mnie... ja zostaję z całym tym bałaganem na głowie, stoję pośrodku sklepu obok małomównego i bogatego jak cholera Widłaka, Widłak Ogoński, który trzyma zrobiony przeze mnie naszyjnik w swoich grubokościstych paluchach. Przysiada na rozkładanej drabince, opuszcza wzrok na naszyjnik, podnosi w górę na mnie. Co robi dalej?

- Mówi: „Rzeczywiście powinienem zobaczyć najpierw, jak wygląda na szyi, nim stwierdzę, czy naprawę go chcę”. Spoglądasz wtedy na swoją bluzkę w zielone i czarne gwiazdki, skubiesz ją lekko, uśmiechasz się i mówisz: „Przykro mi, ale nie jestem odpowiednio ubrana. To właściwie biżuteria na wieczór, wymaga głębokiego dekoltu”. Palcem rysujesz zarys pożądanego wycięcia sukni. Widelec odpowiada: „To niech pani rozepnie bluzkę”. Co masz zrobić? Odpinasz trzy górne guziki bluzki; czujesz, jak uwalniany materiał przesuwa się lekko wzdłuż obojczyka. Widelec podnosi się, z lewej dłoni zwisa mu naszyjnik; ku twemu zaskoczeniu zaczyna odpinać guziki rozporka. Bo jest oczywiście typem z rozporkiem na guziki. Odpina trzy z nich. Stoicie wciąż oddaleni jakieś dziesięć stóp od siebie. Odkładasz górę bluzki starając się, żeby dekolt przypominał linię wycięcia sukni, jaką należy włożyć, aby wyeksponować naszyjnik, ale widząc to już wiesz, że powinnaś koniecznie odpiąć jeszcze jeden guzik... rzucasz okiem w jego kierunku: czy on też doszedł do tego wniosku? Och nie, on też! Kręci teraz głową, mówi: „Wydaje mi się, że naprawdę musi pani zejść o jeden niżej, by móc pokazać naszyjnik”. Uwalniasz więc kolejny guzik, na co on odpowiada odpinając rozporek do końca. Nie robi poza tym niczego, nie sięga do środka, mogłabyś nawet nie zauważyć, że ma rozpięte spodnie, gdybyś właśnie go przy ich rozpinaniu nie widziała. O, niezły z niego skubaniec! Co też on kombinuje? Ujmuje teraz naszyjnik w dłonie, trzyma go za oba końce, potrząsa nim lekko na znak, że masz do niego podejść, co też czynisz. Gdy stajesz przed nim, mówi: „Lepiej chyba będzie, jeśli się pani odwróci. Będę mógł wtedy przyjrzeć się zapięciu”. Odwracasz się więc i widzisz, jak naszyjnik, twoje własne dzieło, obniża się bardzo powoli tuż przed twą twarzą, czujesz na skórze delikatne dotknięcie wisiorów, starasz się przytrzymać bluzkę tak, by nie zatrzymała naszyjnika, zamiast jednak wcisnąć zapięcie on opuszcza naszyjnik niżej, pozwala mu ułożyć ci się na piersiach i słyszysz, jak mówi w zadumie: „Hmm, nie, uważam, że musimy pozbyć się całkowicie tej bluzki, bym mógł rzeczywiście ocenić naszyjnik. Gwiazdki, ich kolory, kłócą się z barwą kamieni”. Odpinasz więc wszystkie guziki i pozwalasz, by bluzka zsunęła ci się z ramion. Masz na sobie czarną bawełnianą koszulkę z cieniutkimi ramiączkami. Bardzo delikatnie podciąga naszyjnik w górę, sunie nim po skórze, aż wreszcie zapina go trzymając końce z dala od twego karku, tak że ledwie czujesz dotknięcie jego dłoni. Kierujesz wzrok na biżuterię: trudno ci powiedzieć, ale uważasz, że wygląda chyba pięknie. Poprzez czarny materiał widać zarys twoich sutek. On stoi za tobą i milczy. Pytasz: „Nie chciałby pan wreszcie zobaczyć?...” Odpowiada: „Chwileczkę, jeszcze coś muszę zrobić”. I słyszysz lekkie szurnięcie drabinki o podłogę, skrzyp jego butów na stopniach, potem słyszysz jakiś szelest, a potem bardzo delikatny rytmiczny odgłos, szmer rękawa marynarki ocierającego się po

raz o połę i, w miarę jak szybkość rytmu wzmagają się lekko, co pewien czas dochodzi cię jakiś maleńki ćmok albo smok, mokre cmoknięcie, wiesz doskonale, co on robi, i słyszysz jego głos, spięty odrobinę: „Sądzę, że teraz mogłaby mi pani pokazać”. Odwracasz się zatem i oto jest, stoi na ostatnim stopniu drabinki z przyrodzeniem na wierzchu, i z każdym szarpnięciem kutasa widzisz, jak napina mu się nieznacznie skóra na jajach. Zaraz, czy ten gość ma naprawdę po kolei? Podnosisz wtedy dłonie do ramion, zsuwasz ramięczka czarnej koszulki, ciągniesz ją w dół, do talii, aż obnażasz piersi, już są odkryte, ujmujesz teraz każdą z nich, twoje nany, unosisz je tak, by każdy z mniejszych kamieni dotykał sutka, i poruszając nimi w przód i w tył ruszasz zarazem sutkami, sztywnymi już, w tę i z powrotem tuż pod dwoma dyndającymi zimnymi kamieniami; widzisz, jak on pędzi coraz szybciej i szybciej, jego twarz nabiera wyrazu „jeszcze-trochę-a”, uśmiechasz się więc i przybliżasz tak, że twoje piersi, srebrny naszyjnik i obojczyki są gotowe na przyjęcie go, po czym spoglądasz wprost na niego i mówisz: „No i co pan sądzi? Podoba się panu? Jak pan widzi, to naprawdę wieczorowa sztuka”. Wtedy on, już rozpedzony, ugina lekko nogi, po czym rozprostowuje je i robi „oooch!” i tryska na twoje dzieło.

Zapadło milczenie. Zapytała:

- Kupuje ten naszyjnik czy tylko zabiera naprawiony widelec i idzie do domu?

- Nie mam pojęcia. Mogę sobie wyobrazić, że sięga po tę papierową serwetkę, w której przyniósł widelec, wyciera cię i czyści naszyjnik, po czym płaci i zostawia ci go.

- To w porządku. Niezły facet, jak mi się wydaje. Może nieco pochopny, bo ja wiem.

Och, mogę na chwilę...?

- Jasne.

- Bo... usta mi zaschły, rozumiesz... chciałam tylko trochę...

- Pewnie - powiedział.

Długa przerwa. W końcu wróciła.

- Ciekawe, że zrobiłaś ze mnie taką „nawiedzoną sztukę” - powiedziała.

- Ale nie agresywną. A jesteś taka?

- Nie, naprawdę nie, jak mi się wydaje. A ty masz koński ogon? - zapytała.

- Nie.

- To w takim razie może staroświecki zapach?

- Nie sądzę, byś tak to mogła nazwać.

- Ciekawa jestem, jak pachniesz.

- Mówiono mi, że pachnę jak kredka firmy Conte. - Hmm.

- Czy może raczej pachnę jak ta kredka, gdyby w ogóle miała zapach.

- Dobrze wiedzieć - powiedziała. - Nie mam tak czy siak pojęcia, o czym mówisz. Ale nie, czekaj, wiesz, z czym mi się skojarzyła ta twoja historia, właśnie teraz, gdy byłam w kuchni?

- Z czym?

- Byłam kiedyś w Rzymie w muzeum razem z moją matką, mijałyśmy właśnie jakiś posąg, cały w plamach i złuszczeniach, matka wskazała mi jeden z tych pocętkowanych obszarów i rzekła: „Widzisz? Tak jest naturalny, że mężczyźni uważają, iż muszą...” - nie wyjaśniła mi do końca. Nie wiem nawet, czy mówiła to poważnie. Mogłam mieć wtedy z osiemnaście lat. Pomyślałam: „Kto wie, turyści we włoskich kościołach niszczą ciągłym obmacywaniem stopy posągów papieży, podczas gdy mężczyźni we włoskich muzeach spuszczaają się na posągi kobiet”.

- Racja - powiedział. - Chyba sobie przypominam, jak wytrysnąłem na tę rzeźbę. Ale zamazuje mi się to wszystko. Tyle było posągów przez te lata...

- Należysz, jak to mówią, do lubiących podróże? - zapytała.

- Znaczą, wsiadam w samolot i lecę gdzieś dla odpoczynku? Nie. Nigdy nie byłem w Rzymie, mam lepsze sposoby na wydawanie pieniędzy przeznaczonych na wakacje.

- Jak ta rozmowa.

- Dokładnie. Ale słuchaj, to musisz mi powiedzieć, naprawdę: ten posąg, gdy wskazała ci go matka, czy nie czułaś wtedy leciutkiego podniecenia?

- Nie wydaje mi się, bym rzeczywiście coś czuła - powiedziała. - Było to po prostu interesujące, interesująca sprawa z dziedziny seksu, zupełnie jak coś z Encyklopedii Ripleya. Nie mam, to na marginesie i żeby na sekundę jeszcze wrócić do twojej opowieści, nie mam więc czarnej koszulki pod bluzką.

- A co nosisz pod bluzką?

- Stanik.

- Jaki stanik?

- Nijaki. Normalny biały najbardziej stanikowaty stanik.

- Ooo!

- Lekko się skurczył w praniu, ale to był ostatni czysty. - Zawsze mnie zadziwia, że biustonosze pierze się zupełnie jak inne części garderoby. Ma zapięcie z przodu czy z tyłu?

- Z tyłu.

- Nie powinnaś go aby zdjąć?

- Nie, nie wydaje mi się - powiedziała.

- Ach, słyszę już w twoim głosie, jak się marszczysz i podciągasz brodę, by na nie popatrzeć! Rrany.

- Ha-ha!

- Sama myśl o tym, jak kobiety spoglądają z góry na swoje piersi, prowadzi mnie do ogłupienia. Robią to idąc; niektóre kroczą z rękami trzymanymi jakby przed piersiami, albo dziwacznie skrzyżowanymi, czy też udają, że ściskają pasek torebki i dlatego tylko zginają przed sobą ramiona, albo też pozorują poprawianie bransoletki czy paska od zegarka, i ów fakt, że nawet ubrane ambarasuje ta beznadziejna oczywistość ich biustów, ten fakt przywodzi mnie do szaleństwa.

- Gdy widzą, jak się gapisz, z oczami prawie na szypułkach, to jasne, że się wstydzą.

- Nie, jestem dyskretny... bardzo. Zresztą zdarza mi się to tylko w szczególnym nastroju. Kiedyś mało nie oszalałem stojąc na przystanku autobusowym. Była właśnie godzina szczytu, wokół wszędzie kobiety jadące do pracy, mijały mnie samochodami, a ja mogłem przez chwilkę dostrzec, przez najkrótsze mgnienie oka, ów szeroki odcinek pasa bezpieczeństwa schodzący ukosem z ramienia, tę sztywną, grubo tkaną taśmę wpijającą się dokładnie między piersiami. Tylko to mogłem dojrzeć, setki razy, najróżniejsze barwy sukienek, koszulek, bluzek, wciąż i wciąż, wszelkie możliwe kombinacje staników we wszystkich rozmiarach i bawełny łączonej z lycrą, niczym klatki jakiegoś filmu. Gdy wreszcie nadjechał autobus, chwiałem się dosłownie na nogach, ledwo byłem w stanie wrzucić monety do automatu z biletami. Co to za hałas?

|

- Nic takiego. Przekładałam właśnie słuchawkę do drugiego ucha.

- Aha - rzekł. - Widziałaś może ten kawałek o tym małym Chińczyku, któremu przytrafiło się samozapalenie?

- Nie.

- Szkoda, wiele straciłaś. Zdaje się, że opisał to najpierw któryś z brukowców, ale ja słyszałem o tym przez radio. Wiesz, o co chodzi z samozapaleniem, prawda?

- Wyobrażam sobie mniej więcej.

- Dobrze, więc ten szczeniak, okazuje się, zapalił się sam z siebie, ale oparzenie objęło tylko genitalia. Nno! Dopiero musiało mu być niewygodnie. Tylko, widzisz, ja doskonale rozumiem, jak to się mogło przydarzyć. Czasem boję się o swoje własne przyrodzenie. Robię się taki, kurrcze, napalony... nie, znowu nieodpowiednie słowo... najajony, najajcowany, narajcowany... tak, robię się tak narajcowany, że spoglądam na moje narządy i czuję, że mógłbym całą tę sztywną konstrukcję ująć w dłoń i zacząć ją odkręcać, obrót po obrocie, aż

zostałaby mi w ręku pojedyncza solidna część, coś jak odlana w całości ośka pedału w rowerze, i dałbym ci ją wtedy, byś mogła używać jako dilda albo innego wibratora.

- W porządku, dawaj. Chociaż nigdy mnie dilda zbytnio nie pociągały. Raz kiedyś spróbowałam, żeby zrobić komuś przyjemność, ale złapałam jakąś infekcję. Nazywało się to, o ile pamiętam, „Jurny Brutalek”.

- Całkiem dobrze pasuje do mej... ośki.

- Ale wiem, co miałeś na myśli. Zdarza mi się nieraz to samo, takie napalenie. Ślimaczek-lechtaczek mi sztywnieje, w dotyku przypomina mały rożek, albo mały słodki kaczanik, i wydaje mi się wtedy, że powinnam przechowywać go schowanego w drewnianej szkatułce. Zwykle lubię dochodzić pod prysznicem.

- Mmm! Czy naprawdę nie powinnaś zdjąć stanika?

- Nie, wcale nie, i powiem ci zaraz, dlaczego. Kiedy chcę się wydygotać... nie, jednak nie mogę ci powiedzieć.

- Proszę, możesz, no proszę, powiedz, możesz, proszę, już zaraz!

- Kiedy się masturbuję, a nie stoję pod prysznicem, moje piersi muszą być też pieszczone, ale hu-hu, nie ma tu nikogo, kto by je popieścił, co więc robię? Opuszczam biustonosz na tyle nisko, by jego brzeg opierał się tuż pod sutkami, co w zupełności wystarcza, i wtedy mogę spokojnie zabrać się obiema rękami za niższe rejony.

- Przecież to cud - powiedział.

- Tylko rozmowa telefoniczna.

- Rozmowa telefoniczna, o jakiej marzę. K o-c h a m telefony.

- Owszem, też je lubię - rzekła. - Mały mojej siostry ma taki dziecinny aparat, biały, z tarczą malowaną w koniki, świnki i kaczki i z niebieską słuchawką, która absolutnie nic nie waży, ale odkryłam, że nawet prowadząc udawaną rozmowę masz niesamowite poczucie władzy. Przykrywasz mikrofon dłonią i mówisz dramatycznym szeptem: „Stevie, to Słoń Horton. Chce z tobą rozmawiać!”, podajesz małemu słuchawkę, oczy robią mu się wielkie, i przez chwilę oboje, ty i on, wierzycie, że to rzeczywiście Słoń Horton dzwoni. A potem pracują dwa telefony: Stevie siedzi przy tym białym z kaczkami i prosiakami, ja przy żółtym z kółkami i ślepiami, które mrugają, gdy ciągniesz go po podłodze, pytam małego, jak się ma, paplam z nim przez chwilę, po czym mówię: „Stevie, chciałbyś może porozmawiać z Paulem?” On na to, że tak. Paul to jeden z naszych krewniaków... wszystko przydarzyło się ostatnim razem, kiedy byłam w domu... więc Paul, który siedzi obok, rzuca zaskoczone spojrzenie, wyciąga bez zastanowienia dłoń po mały plastikowy telefonik, który mu podaję,

przerywa prawdziwą rozmowę, jaką akurat prowadził, i mówi: „Halo?“, uśmiechając się bardzo niepewnie... on też prawie wierzy.

- Tak, właśnie tak! - powiedział. - A tu ja z tobą rozmawiam, i naprawdę jesteś gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu, i masz na sobie stanik!

- Co się nieczęsto zdarza. Jakie inne słowa masz na określenie rzeczy, którym się w tym momencie przypatruję z podziwem?

- Inne nazwy na piersi? Nany to główne. Czasem... „nanie”. „Nany”, „flany” i „klajny”. „Dupa” też nie wydawała mi się nigdy odpowiednim słowem. Nieraz określałam kobiecą pupę jako „pe”.

- Wniosek z tego, że mam także peanus?

- Tak daleko jeszcze się nie posunąłem.

- „Klajny” brzmi dziwnie. „Ściskam moje wielkie pełne klajny”. Pewien jesteś?

- Nie wiem, Patsy Cline wydaje mi się rajującym imieniem. Ale nie mam nawet pojęcia, kim ona jest.

- Piosenkarką.

- Tyle to wiem. Kiedyś sprawdziłem wszystkich Klei-nów w książce telefonicznej, przy jednym było kobiece imię i... Boże, palca sobie mało nie odłamałem, żeby tylko nie wykręcić jej numeru. Choć prawdę mówiąc, jednak zadzwoniłem, ona sama odebrała, a ja wtedy powiedziałem: „Och, przepraszam, musiałem się pomylić”. Ale Kleinowie, których znam rzeczywiście, nie roztaczają żadnych tajemnych seksualnych mocy.

- To telefon.

- Ty przypadkiem nie nazywasz się Klein?

- Nie - odrzekła. - Ale coś ci chcę powiedzieć.

- Co? Co, co?

- Czasem, kiedy już jestem bliska orgazmu, nazywam... nazywam go „pedro”.

- Kogo nazywasz pedro? - zapytał.

- Wyprężonego męskiego kutasa.

- Och, rozumiem. Przepraszam.

- W szkole latałam za chłopakiem, który nazywał się Pedro, to dlatego. Więc kiedy wcześniej mówiłeś, wspomniałeś swoje „berło”, przesyłałam się, sekundę to trwało, ale poczułam uderzenie krwi: myślałam już, że użyłeś mego tajnego hasła.

- No i teraz sama widzisz, po to właśnie żyję, by móc usłyszeć coś podobnego. Chciałbym przeżywać to każdej minuty, każdej sekundy.

- To niemożliwe.

- Będę to smakował tygodniami.

- Ale to sekret, więc...

- Jasne, zostaje wyłącznie między nami. Tu i teraz możemy sobie powiedzieć wszystko, w prawdziwym życiu., nic. Tu możesz mi powiedzieć, wręcz kazać mi, bym luzował węzeł mego płaszczka kąpielowego, aż się rozejdą poły.

- Jaki masz płaszcz?

- Z białej frotty. Możesz po prostu powiedzieć, rzec do mnie: „Jim, naciągnij, proszę, elastyczną gumę twoich szarych spodenek aż do oporu, by ci nie uciskała sterczącego kutasa, potem obniż ją, puść pod jajami, sięgnij po egzemplarz «Juggs» i powachluj swój przegrzany spryskiwacz”. I wiesz, co ci powiem? Zrobiłbym to.

- No, niby tak, mogłabym ci to wszystko oczywiście powiedzieć, ale sama nie wiem, to ważne decyzje i chyba lepiej, żebyś robił wedle własnego uznania.

|

- A ja mógłbym pewnie poprosić cię, byś opowiedziała mi wszystko o sobie, i też byś to zrobiła.

- Prawdopodobnie - rzekła.

- Tak czy owak zdradziłaś mi już ukrytą nazwę, jaką obdarzasz wyrośnięte kutasy. Nie mojego, mnie z tego wyłącz. Te, o których myślisz, gdy jesteś sama. O, widzisz, tego właśnie potrzebuję. Chcę znać sekrety, mieć sekrety i utrzymywać sekrety. Chcę, żeby mi się zwierzano. Każdy twój samotny orgazm, o którym nikomu nie mówisz, to seksualna tajemnica. Zdarzyło się, tylko ty wiesz o tym, wygodziłaś sobie dokładnie tak jak chciałaś i myślałaś przy tym o rzeczach, o których właśnie chciałaś myśleć. I każdy z tych tysięcy razy, kiedy szczytowałaś sama, stanowi absolutnie szczególną chwilę, ze ściśle określonym porządkiem obrazów, tym a nie innym płatkiem skóry drażnionym przez twój środkowy palec w specjalny sposób, przygryzieniem dolnej wargi z dokładnie obliczoną siłą, wszystko tylko twoje, osobiste, prywatne. Jestem niemal zdania, że każdy z tych momentów w życiu kobiety, kiedy dochodzi sama, musi istnieć dalej jako rodzaj ciała kulistego o półmetrowej średnicy, gdzieś w jakimś idealnym wymiarze, jak gdyby wszystkie twoje komórki jajowe zebrały się razem oprócz tych... komórek przeszłych orgazmów, coś to dziwacznie brzmi, wiem, ale ja jestem tym jedynym zdolnym do życia nasieniem błądzącym pośród nich, gotów radośnie spędzić życie wędrując od jednej unikalnej orgazmowej komórki do drugiej i zaglądnąć w nie, obserwując cię, jak doprowadzasz się za każdym razem do ekstazy.

- Założę się, że każda z tych mistycznych sfer ma niewielkie okienko z małą roletką opuszczoną niemal do samego końca, prawda, tak że przybliżasz się i podpatrujesz przez szparkę, zgadza się?

- Właśnie, zupełnie jak stylizowany „dymek” w komiksowej historyjce z wyrysowanym łukowym okienkiem, przez które widać, jak leżysz tam w środku, naga, i brzdąkasz się tak zawzięcie, jakby jutro miał nastąpić koniec świata. Tyle że nie, to nie jest, myślę, takie zwykłe podglądanie... to coś bardziej uświęconego i pełnego czci, bo gdy jestem w takim nastroju, to chciałbym przestać istnieć. Nie oznacza to, że chcę się zabić, mówię po prostu, że jestem człowiekiem, człowiek lubi się gapić, a gap psuje nieskazitelną scenę, wolę zatem nie istnieć, chcę rozpląnąć się w nicość prawie. Oczywiście, wszyscy inni mężczyźni są przy tym zupełnie obcy, nie powinni być w ogóle dopuszczeni. Kiedy jestem bardzo podniecony, nienawidzę wręcz innych mężczyzn. Nieraz gdy w jakimś filmie zaczynają się pocałunki, kamera pokazuje aktora i aktorkę śliniących sobie wzajemnie dziąsła, mniem, mniem, aż tu nagle wjeżdża na ekran pofałdowany kawałek wygolonej męskiej szczęki, a mnie zalewa fala obrzydzenia: co ten skurwiel tam porabia, wywalić go natychmiast! Nie wspominam tu nawet tych kretyńskich bestii w filmach porno, gdzie prawdziwie miła kobieta ofiarowuje się beznadziejnym wszetecznym poje-bańcom... te ich diabelsko sugestywne śmiechy, pełne lubieżnej zawziętości spojrzenia, ślepy upór, ciągle nawracanie w rozmowie do seksu. Precz z nimi. Stałem kiedyś w sklepie przy półce ze świerszczykami, było trochę tłoku, sięgnąłem więc niby przez ramię jakiegoś typa, żeby wziąć pismo, które chciałem obejrzeć, «E-Cup» czy coś takiego; nawet go nie trąciłem, po prostu wyciągnąłem ponad nim rękę, gdy ten obrócił lekko głowę w moim kierunku i niczym jakiś kompletny psychopata, bardzo cicho, rzekł: „Dotknij mnie tylko, a cię pochlastam”. „W porządku, w porządku - powiedziałem - ja tylko chciałem wziąć to pismo!” On na to: „Lepiej mnie, kurwa, n i e dotykaj, dobra?” I, rozumiesz, sam nigdy bym czegoś podobnego nie powiedział ani nikomu w ten sposób nie groził, ale jego reakcja, właśnie tego typu: stoisz przed regałem z kolorowymi pismami, chcesz być jedynym pośród tych wszystkich pięknych miłych cudownych nagich kobiet... taką reakcję potrafię zrozumieć bez większego trudu. A paczka kumpli, którzy popijają piwo przy jakiejś rozbierance... zupełnie nie potrafię tego pojąć, tej ochoty na męskie towarzystwo.

- Ale kobiety 1 u b i ą od czasu do czasu mężczyzn.

- To ja wiem, jasna sprawa, dzięki temu zresztą przymuszam się do zaakceptowania samego istnienia mężczyzn: kobiety wyobrażają sobie często szczytujących mężczyzn, stanowi to zatem uzasadnienie ich egzystencji. Prawdę powiedziawszy, ów dodatkowy

wniosek pozwala mi podniecić się tym, co normalnie mnie nie podnieca, na przykład ta twoja katalogowa opowieść, wcześniej, w której pośrodku hali stoi rząd męskich modeli z rogami obfitości sterczącymi z szortów... pomyślałem sobie wtedy: „W porządku, jej podniecenie pobudza mnie w najwyższym stopniu, wizja, jaką opisuje, jest źródłem bądź też aktualnym wyrazem jej rozpalenia”, wyobrażałem sobie twoją twarz, gdy przez głowę przechodzą ci podobne obrazy, i w ten sposób mogłem sprawić, że i mnie w pewnym stopniu podniecały. Coś jak religijny opętaniec, który jest wyznawcą diabła, bo dowodzi to jego krańcowej pokory wobec Boga, tyle że nie posuwam się aż tak daleko. Ach, wiem już, co ci chciałem powiedzieć!

- Co?

- Pamiętasz tę swoją koleżankę, co to czytała ci przez całą noc jakiś romans? A więc to dobry przykład na to, o czym mówię. Poszedłem kiedyś do takiej małej księgarenki z używanymi książkami, ot, tak sobie pogrzebać, nazywała się „Bonnie’s Books”. Nie było to jednak miejsce, jakiego oczekiwałem, żadnych prawie starych tomów, za to niedawno wydane i już posmakowane książki. Biblioteka na dobrą sprawę. Rzędy zapchanych półek, grube historyczne romansidła, ustawione jak pod sznurek, czasem pięć albo sześć egzemplarzy jednego tytułu tuż obok siebie, Miłość pali jak słońce, Przez miłość do nędzy, Historia wielkiej miłości i czystego serca, wszystko w tym stylu, ale choć nawet znalazło się tam parę sztuk tej samej książki, nie były one identyczne, gdyż każda z nich była już czytana. Wyglądały na używane, każdą ze stron już ktoś przedwrócił. A kto? Kobiety. Serce mi zabiło: wreszcie osiągnąłem zaczarowane błonie. Wziąłem z półki jakąś romansową sagę i czułem się przy tym, jakbym podnosił ręcznik wciąż wilgotny po kobiecej kąpieli. Ach, ta intymność! Książka jednak była obszerna... nigdy nie przeczytałbym tak grubego tomu. Odłożyłem ją z powrotem. Za ladą stała kobieta, wyglądała na trzydzieści osiem, może czterdzieści lat, kto wie, czy nie sama Bonnie. Na pewno czytała niejedną z tych książek! Byłem, jak mi się wydaje, jedynym klientem w księgarni... wiedziałem, że mnie zauważyła, uśmiechnąłem się do niej wchodząc. Chciałem, żeby zobaczyła mnie przy półce z historycznymi romansami. Po chwili przesunąłem się nieco w głąb jednego z przejść i znalazłem prawdziwy skarbiec z romansidłami, setki, całe setki, wszystkie ułożone seriami według określonych tematów, mniej albo bardziej odważne, w jednych możesz powiedzieć, że „musnął koniuszkiem języka jej pępek”, a w innych nie. Trafiłem na zbiór czerwono oprawnych tomików, nie więcej niż pół setki może, seria nazywała się Silhouette Desire, samo desire napisane zmyślną odręczną kursywą skosem przez okładkę: Desire. W głowie zaczyna mi coś dzwonić na alarm, zastanawiam się, czy nie podejść do Bonnie i nie zapytać jej: „Ehm, zna pani oczywiście te

książeczki z serii Silhouette Desire, prawda? Czy mogłaby mi pani powiedzieć, który z tytułów jest najbardziej podniecający?” Ale nigdy bym tego nie mógł zrobić. Poza tym było to i tak bez znaczenia, jako że te setki damskich orgazmów można wysledzić z samych książek, nie ma potrzeby zamęczać pytaniami jakiejś kobiety, nie trzeba wdzierać się w jej prywatne życie, wystarczy wziąć do ręki którykolwiek z tomów i wyobrazić ją sobie, jak rozchylając strony trzymała go między kciukiem a małym palcem jednej ręki. To wszystko stawało się oczywiste, gdy poczuło się śliskość stron... sam tom, wymiętoszony, uległy, krzychał: „Nurzałem się już w twojej wilgoci, gdy miałas dwa orgazmy!”

- A więc kupiłeś którąś powieść z tej serii? - zapytała. - Pewnie Historię wielkiej miłości i czystego serca?

- Możesz chwileczkę poczekać? Muszę po nią skoczyć.

- Pewnie że mogę.

Na moment zapadła cisza.

- Nazywa się Fortunny początek - rzekł - niejaki Dbcie Browning i polecana jest przez wydawcę jako, cytuję, „Lektura mężczyzny miesiąca”. Kobieta, która miała ją przede mną, nie dość, że ją solidnie popalcowała, ale jeszcze rozlała na nią wodę albo gin czy coś innego, więc jest cała pofalowana. Ma wiecznotrwałą fałę, wyobrażasz sobie?

- No, to jest coś.

- W drodze do domu byłem taki sztywny przez samo posiadanie tej smakowanej już książki, że gdy stanąłem na światłach i zobaczyłem we wstecznym lusterku jakąś kobietę, palcami zrobiłem maleńki cipokrężny znak na powalonym przez ptaki dachu mego samochodu... ekscytacja samą myślą, że ona może zauważyć ten ruch i pojąć jego znaczenie wręcz mnie osłabiła, ale kobieta w ogóle nie zareagowała. Tak czy inaczej wziąłem książkę do domu, przeczytałem ją i wiesz co? Była całkiem dobra! Dwa razy prawie że mi stanął, a oprócz tego pod sam koniec miałem łzy w oczach! Historia mężczyzny i kobiety mieszkających w chałupie gdzieś pośród lasu, on naukowiec, ale prostak, ona stara się go ucywilizować i wreszcie sprawia, że on goli brodę, a wtedy okazuje się, że ma nieodparty urok i choć nie zna się na sztuce miłosnej, udaje mu się doprowadzić ją do szczytu podniecenia. Niezła rzecz. Oczywiście nie wrócę pewnie do niej zbyt szybko, ale kiedy rozważy się wszystkie powieści uchodzące w dzisiejszych czasach za wybitne, naprawdę należy jej się uznanie za tak subtelne potraktowanie tematu. Mniejsza z tym. Skończyłem lekturę i wyobraziłem sobie kobietę, która miała tę książkę przede mną, jak kończy ją czytać: ma na sobie zwykłą flanelową koszulę nocną, gasi światło, zamyka oczy, włącza budzik... potem odwróciłem ostatnią stronę, jeszcze parę kartek promocyjnych, wkrótce ukażą się

itepe, aż trafiłem na tę oto stronę. Możesz posłuchać? Przeczytam ci: „Kartkujesz, nie dotykając kartek! Tom-Pomagier umożliwia lekturę kieszonkowych tomików bez przytrzymywania ich rękami. Najlepszy ‘pomagier’ dla wszystkich Twoich romansów. W podróży, na wakacjach, w pracy, w łóżku, przy nauce, gotowaniu, jedzeniu”. Czy usłyszałaś to „w łóżku” wepchnięte w środek? Przeszmuglowane do aseksualnego opisu, uprawomocnione, zupełnie jak te gigantyczne przyrządy do masażu, które w katalogu zawsze opatrzone są reklamowym tekstem na temat ich przydatności w usuwaniu bólów w mięśniach i krzyżu, podczas gdy w rzeczywistości chodzi przecież o to, w jaki sposób kobiety robią sobie dobrze w łóżku. Ten cały Tom-Pomagier to coś sztywnego, do czego możesz przypasać książkę za pomocą, cytuję, „przezroczystego paska”. Książka nie jest już w stanie się ruszyć, jest bezsilna, przytrzymywana w szerokim rozwarciu, rozwarta dla wszystkich nienasyconych oczu, które mogą się w nią wgapić. Ogłoszenie mówi: „Dzięki temu niezrównanemu pomysłowi czytanie staje się prawdziwą przyjemnością! Zdumiewająco prosta konstrukcja, sprawiająca, że tom pozostaje otwarty i idealnie płaski, nie poddający się nawet podmuchom wiatru, gdy Twoje ręce skupić się mogą na czym innym”. I to właśnie była ta strona Fortunego początku, przy której się w końcu masturbowałem: obraz kobiety czytającej, jak to właśnie ten wynalazek pozwoli jej dłoniom zająć się czym innym, i myśl, że składa wpierw zamówienie, potem zapewne trzyma przypasaną otwartą książkę między ugiętymi w kolanach nogami, by swobodnie rozkoszować się rozstrzygającym fragmentem tekstu, gdy obie ręce opuszcza niżej, nisko... potrzebuje obu dłoni, by skupić się na czym innym... o Boże! Cały problem w tym, że ciebie to z pewnością mało co podnieca.

- No cóż - rzekła. - Trochę tak, ale tylko z tego jednego powodu, o którym już mówiłeś: że ciebie to podnieca.

- Ale, ale - powiedział. - Jeśli ciebie podnieca to trochę tylko dlatego, że mnie to bardzo podnieca, muszę zapomnieć o moim silnym podnieceniu i zastąpić je umiarkowanym, jako że stopień twego podniecenia jest głównym źródłem mego. A potem się okaże, iż dla ciebie jest to zaledwie minimalnie podniecające i będę musiał uznać wszystko za całkowity niewypał. W tym właśnie rzecz.

- Musimy znaleźć jakąś pośrednią drogę - powiedziała.

- To powiedz mi na przykład, o czym myślałaś, gdy ostatni raz zajęłaś się swoim kaczanikiem... co to było? To już jakaś pośrednia droga.

- Ta historia o jubilerze, którą opowiedziałeś, całkiem mi się podobała.

- Nie, nie, nic z dzisiejszego wieczoru. Ostatni raz, kiedy sama sobie wygodziłaś.

- Wczoraj. Naprawdę nie pamiętam dobrze. To takie przemijające myśli.

- Ach, naturalnie, że pamiętasz.

- Brałam prysznic.

- Poczekaj chwileczkę... już. Brałaś prysznic.

- Co zrobiłeś? - spytała.

- Nic. Spodenki zaczynały mi się wpijać. Mów dalej.

- Stałam więc pod prysznicem, gdzie zresztą prawie zawsze najlepiej mi to wychodzi.

Na studiach mieliśmy wspaniałe łazienki, marmurowe, z wysoko umieszczonymi natryskami, i woda, każda kropla wody miała absolutnie doskonałą formę, mocne pieszczące ciepłe krople, miliardowy zalew. W tych łazienkach szczytowałam, och, wiele razy.

- W publicznych łazienkach, mówisz?

- Nie, nie, prywatnie - rzekła. - W takiej małej wysokiej kabynie wyłożonej marmurem i z marmurowym przedsionkiem. Bardzo to było głośne i czasem, kiedy woda spływała mi strumieniem po ramieniu i między nogi, a stamtąd dalej w dół, uderzała o kafelki posadzki z klaskaniem prawie. Akademiki były koedukacyjne, więc teoretycznie obok pod natryskiem mógł stać jakiś chłopak z mojego budynku, ale nic mnie to nie obchodziło. Chodziłam się zresztą kąpać o dziwacznych porach dnia, kiedy łazienki były puste. Wpół do drugiej po południu. Szłam na zajęcia, zaczynałam kreślić na marginesach notatek, pojawiał się jakiś łuk, myślałam: „Mhm, ł-u-k” i przerabiałam go na pierś, powiększałam trochę, potem rysowałam drugą, aż wreszcie dorabiałam parę rąk łapiących je od tyłu... zawsze mnie ta myśl interesowała, siedzę w jakiejś sali czy w audytorium, światła ledwo się palą, słucham wykładu z historii architektury ilustrowanego przezroczami, gdy ktoś siedzący za mną wyciąga ręce, chwyta mnie za piersi i ciągnie do tyłu, przyciskając do oparcia krzesła. Więc jak już kończyłam rysować te dłonie obejmujące wielkie piersi, czułam, że naprawdę muszę szczytować i wracałam szybko do mojej brązowej marmurowej kabiny z natryskiem. Kiedyś czytałam coś o bogach rzecznych, też mnie to podniecało. Naprawdę, wtedy wszystko gotowa byłam oddać za jakąś wodę: basen, wannę, staw, ocean, obojętne. Gdy byłam w średniej szkole, wynajmowaliśmy rok w rok dom letniskowy na wybrzeżu Caroliny, chodziłam kąpać się w oceanie, ledwie byłam w wodzie, a już mi się chciało, wypływałam daleko w morze i wyobrażałam sobie te tony i tony wody między moimi nogami, oczywiście niczego nie mogłam zrobić, zbyt wielu ludzi kąpało się obok, więc robiłam sobie dobrze pod natryskiem... ach, to był zupełnie cudowny natrysk, na powietrzu, w takiej drewnianej szopie, mój kostium kąpielowy był zimny jak lód, zdejmowałam go pod prysznicem, zimny materiał sprawiał, że twardniały mi sutki, coś jak w twoim pokazie mokrych koszulek, rozbierałam się w strumieniach ciepłej wody, ściągałam powoli ten lodowaty kostium, jakże przyjemnie, gdy

ciepło miesza się z zimnem, czułam, jak chłód i gorąco oplukują mi na przemian nogi, przytrzymałam kostium odsuwając go od ciała i pozwalając wodzie wypełnić go, aż ciepło oblewało mi uda, wspaniale, skóra traciła wycucie, bardzo byłam jej świadoma, para wznosiła się do góry... a, i było tam małe metalowe lustro, pewnie służyło do golenia, zaparowywało się zawsze, nawet jeśli nikogo nie było. Wisiało po lewej stronie, jeśli stałeś twarzą do natrysku, tu umieszczonego całkiem nisko. Po zdjęciu kostiumu wieszałam go na gwoździu obok lusterka i gdy tak wisiał tam, pognieciony, ogarniało mnie podniecenie, ponieważ oznaczało to, że jestem kompletnie naga, i kiedy lustro pokrywało się parą, rysowałam na nim palcem piersi. Tafla była zimna, miałam ochotę przycisnąć do niej własny biust, ale wisiała trochę za wysoko, wyobrażałam sobie jednak, jak dotykam piersiami tego małego zwierciadła, wpierw ujmując je ciasno razem, a potem przygniatając do błyszczącej powierzchni; w telewizji widziałam właśnie coś na temat lustrzanych szyb, więc zaczęłam sobie wyobrażać mężczyzn stojących na zewnątrz, którzy widzą moje przyciśnięte płasko do zaparowanego lustra piersi. Kiedyś przyniosłam nawet ze sobą szminkę i niemało czasu spędziłam obrysowując nią sutki i zmywając ją potem.

- Boże mój, to w myjni samochodowej pewnie szalejesz.

- Myjnia samochodowa. Ten moment na samym końcu, kiedy przesuwają się nad tobą dysze dmuchawy, bardzo to lubiłam... choć nie, w gruncie rzeczy chyba nie... moi rodzice zbyt rzadko zabierali samochód do myjni. Prawie nigdy. Och, ale pamiętam jedną rzecz, która przychodziła mi do głowy, wyobrażałam sobie, że wracam z uczelni z kimś, kogo nie znam, jedziemy razem, łapie nas jakaś potworna tropikalna ulewa, wycieraczki w jego samochodzie nie działają, więc muszę usiąść na masce i zdjęć mój top, klęcząc trzymam się anteny i piersiami przecieram jakby przednią szybę, by mógł prowadzić. Ale nie była to jakaś powracająca wizja, raz mi się zdarzyło o tym pomyśleć.

- Fantazje podlegają silnej ewolucyjnej presji, prawda? - powiedział. - Jeśli obraz nie oddziałuje, albo też nie potrafi rozwinąć się i zadziałać, wtedy przepada.

- Mhm, tak, nawet w przygotowaniu do orgazmu może się to okazać niewypałem. Wyobrażam sobie: dwa kutasy, pod każdą pachą jeden, tryskające wprost przede mną spermą? Może tak, a może nie. Nie. Jestem nauczycielką geometrii i mierzę chłopcom ich penisy? Tak albo nie? Nie. Jestem pielęgniarką w przychodni świadomego macierzyństwa, gdzie muszę rozbierać się dla facetów, którym orgazm przychodzi z trudnością, obciążać im pałę i czekać, aż ich sperma ścieknie mi z języka do próbki? Nie. Jestem w przebieralni i pilnujący sklepu Hawajczyk ogląda na swoim monitorze, jak przymierzam dzinsy? O-o, może tak. Właściwie dałoby się to porównać do ubierania się na przyjęcie, kiedy aż do ostatniej

chwili nie masz pewności, co włożyć, przerzucasz gorączkowo wizję za wizją niczym stroje, nie wiesz, która kompozycja rzeczywiście pasuje, robi się coraz później, nareszcie znajdujesz wspaniały ciuch o cudownym wzorze, wkładasz go i ach, już jest dobrze.

- Boże. Ale co się dzieje, jeśli czytasz i obrazy, wyobrażenia nie podlegają twojej kontroli? Powiedzmy, czytasz z Pomagierem przytrzymującym otwartą książkę?

- Ha-ha! Gdy moje ręce mogą skupić się na czym innym, to miałeś na myśli?

- No, niech będzie.

- Cóż, przy czytaniu mam opracowany cały system.

- Na przykład bierzesz swój egzemplarz «Fo-rum»... - powiedział.

- Dobrze, więc czytam mały fragment, to może być jakaś historia, list albo opowiadanie, sprawdzam, czy chcę się przy tym masturbować. Jeśli wygląda obiecująco, czytam bardzo szybko cały tekst, żeby zorientować się dokładnie, o co w nim chodzi i znaleźć miejsce, w którym będę chciała szczytować, jak i te, które będę wolała opuścić, bo są, bo ja wiem, zbyt brutalne albo nudne czy po prostu nieistotne. Wracam wtedy, nie zawsze do samego początku, ale cofam się, dokładnie wyliczając dystans, jaki dzieli mnie od miejsca, w którym zaplanowałam orgazm: jeśli jestem bardzo podniecona, cofam się tylko o paragraf, ale jeśli czuję, że to potrwa, wtedy mogę czytać całą scenę czy list poprzedzający list, który mnie wciągnął i potem dopiero czytam ten właściwy, naprawdę interesujący. Czasem zdarza mi się źle ocenić odległość i zaczynam być bliska szczytowania, gdy wybrany kawałek jest wciąż jeszcze na następnej stronie, muszę wtedy pędzić wyszukując pomocne słowa, albo też dzieje się zupełnie odwrotnie, jestem już blisko tego specjalnego fragmentu, orgazm się guzdrze, nie wszystkie obszary odpowiadają na wezwanie, i wtedy muszę czytać moje hasło bardzo powoli, słowo po słowie: „w górę... i... w dół... na... jego... sztywnym... palu...”.

- Gdybyś zatem weszła do pokoju - powiedział - w którym stoi fotel i stół, na jednym końcu stołu monitor, video i taśma z filmem dla dorosłych, a na drugim jakiś tom wiktoriańskiej pornografii, to co byś wybrała?

- Wiktoriańską pornografię, to pewne.

- Aż mi się wierzyć nie chce.

- Ty wybrałbyś film, tak? - spytała.

- Owszem, albo może sam fotel. Ale nie książkę.

- Klasyczne przeciwstawienie - rzekła.

- Masz rację, chociaż... nie, to w gruncie rzeczy interesujące. Tyle się nasłuchałem o rozmaitych badaniach twierdzących, że kobiety lubią opisy, a mężczyźni obrazki, iż zacząłem ostatnio nabierać przekonania, że opisy są symbolem kobiecości, dla mnie zatem naładowane

są seksem, zresztą właśnie to mnie tak rozpałiło w „Bonnie’s Books”: myśl, że podglądam czysto kobiecą sferę. Wydaje mi się, że powoli zaczynam rozumieć, dlaczego ogólnie rzecz biorąc ludzie wolą czytać pornografię. Tekst wywołuje w mózgu vaginalny raczej niż clitoralny orgazm, by tak rzec, obojętnie co to ma znaczyć. Trafiłem kiedyś w jakimś męskim piśmie, lata całe temu, na historyjkę napisaną w pierwszej osobie przez kobietę, nie wiadomo zresztą, w każdym razie sprawiała wrażenie, że to kobieta ją opowiada, o szesnastoletniej dziewczynie, która idzie popływać w basenie sąsiada, naturalnie nie zdążyła się jeszcze oswoić z własnymi nanami, wciąż są jakby zbyt nowe, zapomina więc, że góra noszonego przed rokiem bikini jest za skąpa i nie spełni oczekiwań, no i proszę, stanik spada po przepłynięciu jednej długości, jest jej tak przykro i tak przeprasza, pan Dodup-niak zapewnia ją jednak, że nie ma się czego wstydzić, jemu to wcale nie przeszkadza, i w tym stylu idzie to dalej. Historyjka była wprawdzie całkowicie konwencjonalna i niczym się nie wyróżniała, ale dzięki temu, że opowiedziana została głosem samej dziewczyny, tak że mogłem podejrzeć jej mieszane odczucia, gdy zgubiła stanik, przydarzył mi się wielki... niespodziewanie obfity zwrot moich nakładów. Sądzę, że werbalna pornografia, zapisująca myśli raczej niż tylko obrazy, a przynajmniej otaczająca wszystkie obrazy słowami, może stać się najbardziej pobudzającym medium. Telepatia dla ubogich. A jednak mimo to ja naprawdę potrzebuję wizji. Na przykład: ty pod prysznicem. Czy rozsuwasz lekko nogi, gdy już dochodzisz? - Tak.

- A czy twój natrysk to może Water-Pik, wiesz, ten ze specjalną głowicą do masażu wodnego?

- Owszem, ale używam go bez tych wszystkich dodatkowych cudowności. Był już zainstalowany, gdy się wprowadziłam. Przydaje się do mycia wanny. Ale gdy się... nie wciskam go między nogi, nic takiego. Jest po prostu normalnym prysznicem. Robię...

- Tak?

- Gdy już jestem blisko... - Tak?

- Wtedy... - Tak?

- Otwieram usta i pozwalam, by woda je wypełniła. To uczucie, gdy woda przelewa mi się przez usta... Jesteś tam?

- Nie przerywaj.

- Ale to już wszystko - powiedziała.

- Stałaś pod prysznicem, wczoraj wieczorem, woda zalewała ci twarz i toczyła się w dół po ciele niczym kulki dzieciennego bilardu, powieki miałaś opuszczone. O czym wtedy myślałaś? Och, chciałbym, chciałbym...

- Słucham? Coś mamroczesz.

- Mówiłem, że chciałbym... kłk - rzekł. - Co?

- Przepraszam cię, czasem zdarza mi się przełykać w nie kontrolowany sposób. Mówiłem, że chciałbym... położyć dłonie na twoich udach, wysoko, rozepchnąć je i przykryć ustami cały twój wzgórek i dyszeć tylko na ciebie, oddychać poprzez fałdy okrywającej cię bielizny.

- Ooch.

- Czy nogi masz już teraz rozsunięte?

- Skrzyżowane w kostkach na brzegu niskiego stolika.

- No, musi wystarczyć - rzekł. - Powiedz mi, o czym myślałaś biorąc prysznic wczoraj wieczorem.

- Słowo ci daję, że nie pamiętam. Zresztą i tak wszystko, o czym myślę, znika tak szybko. Poza tym nie wyobrażaj sobie, że ja wtedy tylko szczytuję i szczytuję. Bardzo często stoję pod natryskiem i przypomina mi się jakiś żenujący moment czy głupstwo, które powiedziałam, przeklinam to, mówię: „Spadaj, gnoju”. Na przykład wieczór, kiedy wróciłam pijana z przyjęcia, tak pijana, że czułam, jak robi mi się niedobrze, ale w łazience ktoś siedział, opłukiwał twarz, mył zęby, nucił radośnie, a ja jęczałam opierając się o drzwi, zastukałam grzecznie, typ siedzący w środku zamknął się jednak na haczyk, zatrzasł był zepsuty, i zbyt był zadowolony z siebie, by mnie usłyszeć, a może wydawało mu się, że żartuję, pozdrawiam go pukając, i w końcu zwymiotowałam pod drzwiami swojej własnej łazienki.

- Okropne.

- Przepraszam za niewybredność. Na szczęście był to tylko kruszon. Typ okazał się bardzo miły, umył mnie, wytarł drzwi, ściągnął ze mnie ubranie i przebrał w pidżamę. Potem oczywiście zerwał nagle znajomość, ponieważ powiedziałam mu, żeby przełożył pióro do kieszeni w spodniach. Ale pod prysznicem wraca do mnie nagle coś takiego i wtedy klnę, aby odsunąć pamięć.

- Doskonale to rozumiem. „Już cię nie ma! Zjeżdżaj!”

- Tak, tak. Poza tym myję się pod prysznicem. I zastanawiam się nad innymi rzeczami, które muszę wykonać. Tak więc zrobienie sobie dobrze jest tylko jedną z pozycji na liście wszystkich spraw. Moje życie nie jest oddane wyłącznie tej jednej pozycji, tak nie jest.

- Ależ tak, nie, ja wiem doskonale. Ale... myjesz głowę przed czy po orgazmie?

- Zwykle odwalam wszystko najpierw, a potem zastanawiam się, czy mam ochotę na...

- Jakiego koloru masz włosy?

- Jasnobrązowe. Faliste. Ale raczej krótkie. A ty?

- Czarne - powiedział. - Opowiedz mi teraz o tych wymagających załatwienia sprawach, o których rozmyślałaś wczoraj pod prysznicem.

- Och, takie tam, zawodowe. Listy do napisania... powinnam siedzieć nad nimi w tej chwili.

- Nie, teraz nie.

-I muszę przemaalować przedpokój. Ach, teraz przypomniałam sobie jedną z wczorajszych seksualnych wizji. Ludzie, którzy mieszkali tu przede mną, okleili ściany jakąś okropną tapetą, metaliczna folia czy coś w tym stylu, z powtarzającym się wciąż i wciąż motywem drzewa i płotu, o który oparte jest koło od wozu. Paskuda.

- Nie brzmi dobrze.

- Pomalowałam więc ściany po wprowadzeniu się - powiedziała. - Jasny kolor, nazywa się Paper Lantern, położyłam dwie warstwy. Mówiono mi wprawdzie: „Wiesz oczywiście, że folia, którą malujesz, tak czy siak się prze-bi-je”, ale nie byłam po prostu w stanie zrywać całej starej tapety... gdybym to zrobiła, jej wzór odbiłby mi się w duszy, na łożu śmierci by mi się nim jeszcze odbijało. Przemaalowałam więc tylko dwa razy, grubo. W pierwszym roku wszystko było w porządku, ale potem mieliśmy to zabójcze lato i wilgotność powietrza wypociła jakimś cudem motyw spod farby, tak że można znów rozpoznać płot i wsparte na nim koło. Są ledwo widoczne. Choć nawet mi to już teraz tak nie przeszkadza. Ale naprawdę powinnam znów wziąć się za ściany. Stojąc pod prysznicem wyobrażałam sobie, jak maluję wałkiem przedpokój. Okropna strata czasu. I nagle pomyślałam: „Spokojnie, mam przecież pieniądze, tym razem mogę wynająć ludzi, żeby to zrobili”. Zaraz stanęło przy mnie trzech malarzy, w ścianie zaś pojawiła się niespodziewanie ogromna dziura, mniej więcej metr nad podłogą, na tyle duża, że mogłam się przez nią przepchnąć: nogi miałam w przedpokoju, głowę i tułów w pokoju. Dziura była wykończona i wyłożona futerkiem. Zupełnie naga, opierałam się dłońmi o dwie puszki pełne farby. Dziwne, ale puszki były ciepłe. Jeden malarz pracował w pokoju, dwóch pozostałych robiło przedpokój, w którym tkwiła moja dolna połowa. Malarz, którego widziałam, jakby mnie nie zauważał, malował ścianę odwrócony do mnie tyłem. Dwójka w przedpokoju pracowała wałkami, mieli takie specjalne małe wałki używane do wykończeniowych detali, może dziesięciocentymetrowe, śliczne delikatne wałeczki, którymi można dojść wszędzie. Jakimś sposobem wiedziałam, że jeden z tej dwójki pomylił się i maluje niewłaściwym kolorem, tym Opulent Opal, który wybrałam do pokoju, najwidoczniej wziął złą puszkę z samochodu. Jakież brak uwagi. Drugi był bardziej sumienny i sztukaterie lśniły pod warstwą Paper Lantern. To zresztą są nazwy nadane przez producenta, nie moje. W każdym razie odezwałam się głośno: „Ludzie, ej, moi

panowie! Pilnujcie, proszę, właściwego koloru! Tak łatwo się pomylić!” Oni jednak rozmawiali ze sobą i nie zwrócili na mnie uwagi: słyszałam ich lepkie małe wałki wędrujące po ścianie, ssszp, ssszp, ssszp, luźna rozmowa dotyczyła jakiejś dziewczyny, którą tego weekendu widzieli nad jeziorem, jak jechała siedząc na tyle motorowej łodzi, ubrana tylko w ogrodniczki, piersi kołysały jej się za klamerkami szelek, potem wspominali, jak to przy jakiejś dawniejszej robocie jeden z nich dosłownie, cytuję, „wyjadł” kobietę, której mieszkanie malowali, ona zaś wybrandzlowała go później na popękane płyty kominka, ponieważ panicznie bała się zniszczyć wypokostowaną podłogę z zabytkowych klepek, i znów zawołałam do nich, najgrzeczniej jak umiałam: „Panowie, naprawdę, sprawdźcie, czy malujecie właściwym kolorem!”, ale tym razem jeden z nich w odpowiedzi wziął mały wałeczek, nabrał nim obficie matowej farby Paper Lantern i przytknął go do mojej prawej strony, no, wiesz... do pośladka, i poczułam, jak toczy go w dół po nodze zostawiając pas koloru, poprzez łydkę aż do ścięgna Achillesa, a potem wraca nim do góry. Zupełnie jak szew w przedwojennych pończochach, tyle że szeroki. Znów zanurzył wałek w misce z farbą, nabrał nową jej porcję i zaczął malować mój drugi pośladek, bez pośpiechu jadąc wałkiem w dół i do góry. Z początku przykładał go tak delikatnie, że ledwie czułam wilgotne kłaczki dotykające mej skóry wysoko na udzie, a wałek ledwie się obracał, ale przyparł go mocniej prowadząc w dół i wycisnął nieco farby... spłynęła mi po nodze wyprzedzając malarskie narzędzie. Była tak zaskakująco ciepła. Trzymali puszki z farbą w zaparkowanym na słońcu samochodzie. Kiedy wałek wędrował przez oba dołki podkolanowe, wrażenie było bardzo, bardzo przyjemne. Poczulałam, że wyginam lekko grzbiet do góry, zupełnie jak głaskany kot. Tymczasem trzeci malarz, ten, który był w pokoju z moją głową i górną częścią tułowia, malował pogodnie dalej odwrócony wciąż tyłem, więc częściowo chociaż praca posuwała się do przodu. Oczekiwałam poza tym, że dwójka w przedpokoju wróci zaraz do roboty, zamiast tego jednak poczułam na każdej nodze parę rąk, uniosły mnie na moment i pod stopy wjechały puszki z farbą. Nie była to szczególnie wygodna pozycja: brzegi puszek wbijały mi się lekko w podeszwy, nogi miałam rozstawione szerzej niż zazwyczaj, krzyż uciskała wyłożona futrem krawędź otworu w ścianie. Niezbyt wygodnie, ale do zniesienia. A potem poczułam dotknięcie krawędzi dłoni na wewnętrznej stronie ud: zorientowałam się, że pierwszy mistrz wałka zaczął malować pas w kolorze Paper Lantern rozpoczynając tuż przy górnej krawędzi mego futerka, powoli, bardzo powoli przetacza się przez ślimaczka i całą resztę niczym jakiś ciężki, nieruchawy walec drogowy, i wraca z powrotem do ślimaczka. W tym samym czasie drugi artysta korytarzowy nabiera na swój wałek niewłaściwą farbę, Opulent Opal, obraca go bokiem i pokrywa mi tyłek poziomym paskiem, wpierw lekko,

potem, wracając, mocniej, a potem schodzi niżej, między pośladki, krzycząc: „Nie, nie, powtarzam, to nie ten kolor!”, ale on całkiem rozmyślnie wywija wałkiem w okolicy mojej, no, niech będzie, mego peanusa, jakbym w ogóle nie protestowała. Farby są oczywiście nietoksyczne. I nagle słyszę, jak odkłada wałek, potem kładzie dłonie wysoko na moich pośladkach, przytrzymuje biodra i robi zadziwiającą rzecz: cały swój ciężar, czuję to, przenosi na ręce, również na mój krzyż, podpira się zupełnie jak gimnastyk wyłącznie dłońmi, kolana zgięte, nogi rozstawione... i w sekundę później czuję rozpalony gruby wał napierający na mój peanus w kolorze Opulent Opal i wwiercający się cichcem głębiej. Krzycząc: „Jea!”, malarz w pokoju odwraca się zaskoczony i po raz pierwszy mnie zauważa. Dłońmi wciąż wspieram się o te dwie puszkę z farbą. Z tyłu za mną artysta gimnastyk bez zbędnych ceregieli zatapia mi się głęboko między pośladkami, podczas gdy drugi, ten używający mądrze przez cały czas należytej farby, kciukami otwiera... mnie, rozsuwa mi wargi, i po chwili czuję, jak wślizguje się powoli we właściwy otwór. „Jou!”, mówię. Malarz w pokoju robi wielkie oczy, przypatruje mi się z niemym pytaniem: „Co też za ćwiczenia ona ma na kasecie?” Obawiam się, że z zadowolenia aż mi drżą w tym momencie usta. Moja twarz musiała przybrać wyraz, jaki miałabym przegryzając opakowanie paczki prezerwatyw, same wyszczerzone zęby, ale przecież... nie było żadnej takiej paczki. Mój malarz zanurza wałek w farbie, którą pokrywał ścianę, neutralny ciepły szary kolor, naprawdę ciepły, podchodzi bliżej i kładzie się na podłodze tuż przede mną, choć w przeciwnym kierunku, głową dotykając listwy przypodłogowej, dzięki czemu między piersiami mogę dostrzec jego twarz i zachlapaną farbą okulary, przybliża wałek do jednej z sutek, po czym wspina się nim między piersi i stacza znów do drugiej sutki, równocześnie przesuwając stopą kolejną puszkę na odpowiednie miejsce, by potem, wciąż na plecach, unieść w górę biodra opierając się obiema stopami na puszcze, coś jak słoń balansujący w cyrku na maleńkim stołku, rozumiesz? I wyciąga na wierzch ptaka. Dupomalarz wykorzystuje ten moment, by odsunąć ręce, cały więc jego napór przenosi się poprzez mięśnie ud i kutasa w mój tyłek, gdy w tym samym czasie stojący za mną malarz nóg wychodzi ze mnie prawie cały, po czym wsuwa się znów do końca, aż czuję ucisk jego muskularnych ud, chcę powiedzieć: „Oaa!”, co, jestem prawie pewna, powiedziałabym, gdyby wszystko to działo się w moim korytarzu, ale oczywiście ledwo zdażyłam otworzyć usta, a już miałam w nich kutasa leżącego przede mną mężczyzny i mogłam co najwyżej zamruczeć, a potem cała trójka spuszcza się we mnie, jeden po drugim, najpierw nie wiedząc czemu ten w ustach, po nim ten między nogami, wreszcie ostatni, ładujący mnie w peanus.

- Coś takiego - powiedział. -1 myśląc o tym szczytowałaś wczoraj pod prysznicem?

- Nie tylko o tym. Bo, rozumiesz, opowiadanie tego trwa długo, ale w rzeczywistości to jedna z sekwencji szybko następujących po sobie obrazów. Potrzebuję zwykle sporo czasu, by osiągnąć orgazm.

- Opowiedz mi jeszcze coś.

- Hm, cóż. Wizja, przy której wreszcie szczytowałam, była... w gruncie rzeczy były dwie wizje. Przepraszam cię na sekundę.

Wróciła po chwili.

- Co robiłaś? - zapytał.

- Poszłam po ręcznik, żeby mieć go tuż obok, gdy będę potrzebowała się wytrzeć. Nie chcę jeszcze dochodzić, a robię się strasznie mokra.

- Czy to znaczy, że zdjęłaś już spodnie i tenisówki?

- Tak.

- Bieliznę? - Też.

- Jakiego koloru jest ręcznik?

- Zielony.

- Gdzie go masz?

- Trzymam zwinięty w dłoni między nogami, tam go potrzebuję. Ale już go odkładam.

- Dlaczego nie chcesz jeszcze szczytować? Nie będę miał nic przeciwko temu, wiesz chyba.

- Ponieważ jeśli to zrobię, to się rozłożę, nie będę chciała więcej rozmawiać z tobą w ten sposób, a z przyjemnością to robię. Mój ślimaczek prowadzi ze mną podwójną gierkę: stale próbuje mnie napuścić, gdy jestem z kimś, a nawet gdy jestem sama, powiada: „No już, Abby, zrób sobie dobrze, przecież to żaden problem, za parę minut powtórzymy, teraz jest tak wspaniale, hejże, nie bądź taka konserwatywna, mogę trzy albo cztery razy!” Ale znamy się dobrze. Nie mam seryjnych orgazmów. Sekundę po szczytowaniu już koniec, choćbym była przedtem nie wiem jak podniecona, ślimaczek wycofuje się, przepada znów w swoim schowanku, a ja myślę o innych rzeczach. Zwykle dwie, trzy godziny później poprawiam sobie jeszcze raz pod prysznicem, ale nie wcześniej.

- Rozumiem. W takim razie miej swój ręcznik na podorędziu. Dla mnie może to trwać bez końca.

- Dobrze. Gdzie to byliśmy?

- Miałaś mi opowiedzieć, co sobie akurat wyobrażałaś, kiedy szczytowałaś wczoraj wieczorem.

- W porządku, ale czy chodzi ci o wizję, dzięki którym szczytowałam, czy też o wizję, jaką miałam w m o- m e n c i e szczytowania?

- Ja... nie wiem.

- Bo to duża różnica - powiedziała. - Obrazy, które widzę szczytując, to rzeczy, no, bo ja wiem, słonie morskie drzemące na skałach, karuzelowy stojak pełen kartek z życzeniami, malowidło owinięte szczelnie płótnem żaglowym, meble ogrodowe... w głowie mam taki galimatias, że nie sposób przewidzieć, co za cudenka mogą się tam znaleźć, gdy wreszcie rozbłyszczą wszystkie światła. Prawie nigdy seksualne wizje. Ale tobie chodzi o te wcześniejsze, kiedy już jestem blisko, prawda?

- Raczej tak.

- Wczoraj, o ile pamiętam, zdarzyły mi się dwa połączone wyobrażenia. Ale czuję się skrepowana...

- Ty... skrepowana, gdy dopiero co opowiedziałas mi o dymaniu na trzy kutasy?

- To nic nie było, zwykła fantazja. A wyobrażenie, dzięki któremu doszłam, w jakimś sensie sama odegrałam.

- Powiedziałem ci przecież o kupowaniu romansidla, nie? - rzekł. - Nawet ci opowiedziałem o tych obsce-nicznych palcówkach na dachu samochodu. Wszystko ci wypaplałem!

- To powiedz mi, jak to wygląda, kiedy ci stoi.

- Znaczy, z pamięci? - Nie.

- Czyli mam rozsunąć poły płaszcza i tak dalej? - Tak.

Chwilowa przerwa.

- Jou. Hmm. Co ci mam powiedzieć?

- Czy jest sztywny? - Tak.

- Był już sztywny, czy też mu pomogłeś?

- Był trochę sztywny, a ja mu trochę pomogłem.

- Opowiedz mi o nim. Patrz na niego i opowiadaj.

- Ta-ak, co by tu powiedzieć. Sam nie wiem. Jeez...

- Głaszczesz go?

- Ja... szczyrze? - Tak.

- Palcami prawej ręki podszczypuję skórę u spodu, a lewą przerzucam nerwowo jaja.

- Pogładź go teraz, powoli - powiedziała.

- Dobrze. Chryste, za każdym dotknięciem pręży się jak mięso. To znaczy zawsze się tak dzieje, ale teraz, kiedy każesz mi patrzeć, wydaje mi się to najistotniejsze, to wyprężenie.

- Szybciej.
- Ale tylko przez chwilę, dobrze?
- Zgoda, nie chcemy żadnego samowychodu.
- O to chodzi. Ieee, bardzo to przyjemne.
- Słyszę brzdąkanie w twoim głosie, ty potworku.
- Potwórbacja. Ale nie chcę już teraz pękać. Przystaję...
- Roztropnie.

- Śmieszne, wiesz - powiedział. - Kiedy robiłem to szybko, przyszło mi do głowy coś, o czym myślę od lat, aczkolwiek nie zdałem sobie z tego wcześniej sprawy. Wyobraziłem sobie coś niemożliwego: założmy, że podniecam się zbyt mocno, wtedy wyginam i wykręcam nogę w taki sposób, że chwytam kutasa w zgięciu pod kolanem i ściskam go zupełnie jak dziadkiem do orzechów, aż mu się odechce orgazmu.

- Ty rzeczywiście jesteś śmieszny - powiedziała. - Ale przyjemnie było rozkazywać ci przez chwilę.

- Ha! Choć wywoływało to także strach. Rozmowa przez telefon podlega innym prawom. Czy chcesz wiedzieć, o czym faktycznie pomyślałem, kiedy poprosiłaś mnie, bym ci, cytuję, „opowiedział” o moim kutasie? Kiedy minęły już dreszcze i strach?

- No?

- Jakiś czas temu odbiło mi na punkcie jednej z kobiet w biurze - powiedział. - Miała piękne toczony ramiona, bardzo była z nich dumna. Podejrzewam, że nie miała ani jednej sukienki z długimi rękawami. Chodziła z jakimś Lee, beznadziejnym, zadowolonym z siebie palantem, zonatym flirciarzem, którego osobiście nie mogłem ścierpieć. Wiedziała, że na mnie działa, zresztą rano po każdej nocy, podczas której brandzlowałem się myśląc o niej, miałem zwyczaj wysyłać jej notatkę z pojedynczym asteryskiem, gwiazdką pośrodku kartki. Nie mam pojęcia, czy uważała to za coś miłego, choć wydaje mi się, że ogólnie była zadowolona. Sam i tak nie traktowałem tego zbyt serio. Któregoś dnia wyciągnęła nawet rękę jakby zdumiona, pytając: „Cóż to, dzisiaj żadnego odsyłacza?” Ale wiedziała, że uwielbiam jej ramiona. Próbowałem ją naciągnąć, by przysyłała mi notatkę z symbolem funta po każdej nocy, kiedy masturbowała się myśląc o Lee, ale nigdy tego nie zrobiła. Którejś nocy pracowałem do późna i naszała mnie ochota na brandzel. Biuro było zupełnie puste, jakiś wakacyjny weekend. Przeszedłem obok jej drzwi, miała na imię Emily, i poczułem się, jakbym mijał ogromną vulwę, tak wielką, że w środku mieściło się biurko, i zdecydowałem, że powinienem w gruncie rzeczy zrobić fotokopię mego kutasa, dwie właściwie, jedną przed wytryskiem, a drugą po, i zostawić je razem z kartką z asteryskiem na jej biurku.

- Co spodziewałeś się przez to osiągnąć?

- No cóż, chciałem bardzo, żeby zobaczyła mojego kutasa, ale oczywiście do głowy by mi nigdy nie przyszło, żeby go po prostu wyciągnąć przed nią, nie, musiałem zachować pewien... dystans, że to niby, rozumiesz, ho-ho-ho, jesteśmy wszak dorośli, wszystko zatem ma papierową podkładkę. Tak czy owak, sfotokopiowa-nie kutasa jest o wiele trudniejsze niż się wydaje. W biurach robią to stale, wiem, ale w moim przypadku okazało się to niemałym przedsięwzięciem. Być może gdyby udało mi się przybrać taką pozycję, jaką popisał się marlarz-gimnastyk na twoich... plecach, wtedy może byłoby to łatwiejsze, ale wpierw musiałem się postarać o jaką-taką erekcję czekając przy kopiarce w tym opuszczonym świątecznie biurze, musiałem sobie wyobrazić ją oglądającą w poniedziałek fotokopię mego kutasa, medytować, jak z początku myśli: „O rany, co za wariat”, ale potem odkrywa, że nie może się pohamować i musi wpatrywać się w ten mój szczególny wizerunek, o-tak-tak, musi schować fotokopię do trzymanej w ukryciu teczki, w której ma już wszystkie moje kartki z asteryskiem, i że tej samej nocy, zasiedziawszy się w biurze, sięgnie długim ramieniem do szuflady, wyjmie ową teczkę i zacznie ją przeglądać strona po stronie, asterisk po asterysku, aż znajdzie odbitkę z kutasem. W tym momencie mi stanął, jedną przeszkodę miałem z głowy. Teraz musiałem ułożyć go jakoś na szklanej płycie kopiarki, ale jej konstrukcja (nie cierpię tej maszyny, to tak na marginesie, cała ta firma jest zbyt szmatława, by stacją było na wynajęcie porządnego sprzętu) tak jest zatem skonstruowana, że normalna kartka formatu A4 musi leżeć bokiem na środku szyby, dokładnie pomiędzy dwoma znakami, wiesz, o czym mówię, prawda?

- Tak.

- Problem polegał więc na tym, że na kopii wyszedłby zaledwie ślad samego końca mojego kutasa. Mogłem oczywiście usiąść na maszynie okrakiem, ale to już byłaby głupota. W końcu zrobiłem siedemdziesięcioprocentowe pomniejszenie, jako że najwyższy stopień redukcji pozwalał na wykorzystanie całego obszaru płyty, którego sięgał mój ptaszek, i tym sposobem uzyskałem coś mgliście obscenicznego, nawet mimo tej zredukowanej skali. Wyglądało to jak zepchnięta na prawą stronę obrazka licha chałupinka. Napisałem na kartce „Pomniejszenie 70%”. Cały jednak wcześniejszy plan: wybrzdąkać się raz-dwa i zrobić drugą kopię, wziął w łeb, bo mój zwiotczały teraz pisklak nie sięgał nawet brzegu samej szklanej tafli. Tymczasem jednak byłem już zupełnie opętany chęcią zrobienia dla tej kobiety czegoś, co zawierałoby choć drobny element komizmu, tak by mogła pomyśleć: „To dla zabawy, wszystko dla zabawy”, a zarazem uświadomiło jej z pełną mocą, że spędziłem ten weekend

dumając o niej w pustym biurze, sam, z ogromną erekcją. Jak mam jej to uzmysłowić? Spuścić się na tę kartkę z asteryskiem? Zbyt brutalne. Nie uważasz, że to byłoby przesadą?

- Tak, raczej.

- Ja też. A więc zamiast tego zrobiłem... pamiętasz może, jak w przedszkolu obrysowywało się ręce? Dłoń leżała nieruchomo na kartce, ołówkiem objeżdżałaś każdy palec po kolei, wszystkie stawy, miałaś ich kontury, powtarzałaś to kilka razy, za każdym razem ołówek był pod innym nieco kątem, powstawała w końcu emanacja dłoni, sama nigdy nie narysowałaś jej dokładniej, i wystarczyło teraz dodać tylko paznokcie i małe fałdki na końcach palców i już miałaś rękę. Kiedyś jednocześnie obrysowywaliśmy sobie nawzajem dłonie z koleżanką: posuwałem ołówek bardzo wolno, co wywołało u niej łaskotki, śmiała się bardzo za każdym razem, gdy dochodziłem ołówkiem do miejsca między palcami, ale wytrzymała, nie wyrwała dłoni. Miała na imię Martha. Popatrz, jakże miło, że to pamiętam! Jedna z wychowawczyń pokazała nam, jak można nakładając na siebie obie dłonie zrobić indyka. Ale to już nie było takie interesujące, zwyczajna sztuczka. Tak samo z cieniami: piękne są nie krokodyle czy nietoperze wywołane na ścianie twymi rękoma, ale to, że cień pozwala ci dokładnie poznać kontur własnych dłoni, zobaczyć wszystkie te poduszeczki mięśni pod każdym ze zgiętych stawów. Jasne więc, że coś takiego właśnie musiałem zrobić. Opuściłem pokrywę kopiarki, wziąłem czystą kartkę papieru i zacząłem w skupieniu wyobrazić sobie zaskoczenie i osłupienie, jakie poczuje ujrawszy mój komunikat, aż wreszcie znów stwardniałem. Rysowałem pisakiem, palcem przygwoździwszy płasko kuśkę, pisak zaś trzymając idealnie prosto... bardzo ciekawe wrażenie, nie: przyjemne, ale interesujące, dotknięcie zimnego pióra. Powtórzyłem kreskę może z pięć razy; najlepsze było to, że na papierze mój kuś prezentował się naprawdę okazale: po prostu kawał kutasa. To oczywiście dlatego, że rysunek robi się z każdej strony większy o, czekaj, dwie połówki średnicy albo jedną całą średnicę pióra, więc prawie centymetr. Znacznie lepsze niż kopia, która i tak, jak ci mówiłem, przypominała krytą strzechą chałupinę gdzieś u prawego brzegu kartki. Napisałem „Obrys w pełnej skali”, rozumiesz, „godzina 23,43, niedziela, 24 listopada”... czy jaka tam akurat data była. I zostawiłem notatkę wraz z obydwoma dziełami w jej przegródce na dzienną korespondencję.

- Wyglupiasz się! Znalazł je ktoś?

- Nie, nie. Zabrałem je tuż przed wyjściem.

- A, to w porządku.

- Przez miesiąc prawie nie wysyłałem jej żadnej kartki z asteryskiem, raczej niezwykle, aż zaczęła przyglądać mi się pytająco. Wreszcie któregoś popołudnia przyszła do

mojego pokoju i spytała, co się stało. Nie jestem taki pogodny jak zwykle, powiedziała. Ponadawalem jej na kogoś w pracy, ponarzekalem na fakt, że jesteśmy drugorzędną firmą, gdy moglibyśmy należeć do czołówki, takie normalne gadanie. A potem dodałem: „I jeszcze coś”. Zapytała: „Co takiego?” Wiedziała, że chodzi o nią. Więc z wariackim poczuciem oporu i gwałtownej chęci wyznałem jej, że zrobiłem fotokopię kutasa i jego obrys, zostawiłem je któregoś wieczoru na jej biurku, ale w końcu wziąłem je z powrotem. Spytała: „Masz je jeszcze?” Powiedziałem: „No pewnie!”.

- Nie wyrzuciłeś ich? Schowałeś do swojej własnej teczki?

- Oczywiście - rzekł. - Tyle zachodu po nic? Poza tym stanowiło to w pewnym sensie dalszy ciąg całej sprawy: wygadam się, co zrobiłem, ona będzie chciała to zobaczyć, a ja sięgnę tylko do teczki i proszę, oto jest.

- I co powiedziała?

- Że kutas na fotokopii wygląda jak sonogram.

- Nic więcej?

- Mówiłem ci przecież, że ten Lee zakręcił jej mocno w głowie. Zaproponowałem jej, by wzięła obie kartki do swoich akt, jeśli chce. Powiedziała, że nie, dziękuje. Tydzień później wybraliśmy się wspólnie na lunch. Żaliła się na Lee, słuchałem ze współczuciem, po czym spytałem ją... nie mogłem się powstrzymać, więc zapytałem... mówię: „Zapomnij o tej fotokopii, Emily, ale powiedz mi, czy ten obrys kutasa, który ci pokazałem, podniecił cię w jakiś sposób? Nie wtedy, w biurze, to jasne, ale później? Czy poczułaś się chociaż minimalnie podekscytowana?” Spojrzała na mnie z pobłażaniem i powiedziała: „Wybacz, naprawdę, myślałam o tobie bardzo ciepło, ale podniecić... nie, zupełnie nie”. Koniec, można powiedzieć.

- Też mi się tak zdaje - rzekła.

- Właśnie, właśnie, ale... nie. Był ciąg dalszy.

- Chcesz powiedzieć, że ona i ty, żeście się wreszcie zeszli? Jak jej było na imię?

- Emily.

- Racja, mówiłeś. A zatem?

- Cóż, rzeczywiście spędziliśmy wspólnie wieczór w moim mieszkaniu - powiedział.

- Normalka? Ty przyozdabiasz abażur swoją najlepszą szarfą, a ona uszczęśliwia cię tubką wazeliny?

- Mniej więcej. Swoją drogą o tym właśnie myślałem, kiedy kazałaś mi spojrzeć na mojego kutasa i opowiadać ci o nim. Muszę powiedzieć, że było to jedno z najbardziej niepokojących życzeń, jakie trafiły mi się w życiu.

- Chciałbyś wiedzieć, czy mnie by twój kontur podniecił?

- Owszem, ciekaw jestem.

- Zależałoby to od nastroju, wydaje mi się. Być może sama miałabym ochotę zrobić taki rysunek. Gdybyś obrysował moje całe ciało, zrobiłabym pewnie to samo z twoim bucefałem... Wiesz, mikrofon, do którego mówię?... W słuchawce telefonu?

- Tak?

- Jest zupełnie jak sitko. Albo jak taki mały filtr, który nakładasz na odpływ w wannie. Czasem wydaje mi się, z tym telefonem, że jeśli się odpowiednio skupię, to przeleję się do środka, zamienię w mgłę i zmaturalizuję na powrót w pokoju osoby, z którą rozmawiam. Czy nie uważasz tego za zbyt dziwaczne?

- Nie, sam też tak nieraz myślę - odparł.

- Ale co ciekawe - powiedziała - to to, że sama droga też potrwałaby trochę. Zastanawiam się często, jak to może być, co bym czuła zamieniona w świadomą wszystkiego parę. Znasz te samochody, które kręcą się po ulicach i pożerają opadłe gałęzie? Takie brzęczące ciężarówki? Facet z obsługi wrzuca kawałek drzewa, maszyna robi mmmmmmm-iooonng-mmmmmmm, i ze sterczącej wysoko rury wypadają drobniutkie ścinki? Myślę o czymś takim, tyle że oczywiście byłoby to bezbolesne, kusi mnie ten moment, kiedy jestem już tylko sieczką z drzewnych wiórów i kawałeczków liści. Albo wiesz co jeszcze? Przypominasz sobie ptaki wsysane przez turbiny odrzutowców? Czasem leżę w łóżku o trzeciej, czwartej nad ranem i wyobrażam sobie, że lecę wysoko, kilometry nad ziemią, i gdzieś tam jest też jeden z tych tajemniczych samolotów szpiegowskich, cały czarny, z wielkimi okrągłymi silnikami o wirujących turbinach, łopatki turbin wyglądają jak blaszki jakiegoś grzyba, wiesz? Czarny samolot gna z niesamowitą szybkością, a ja lecę równie szybko z przeciwnego kierunku, spotykamy się i przelatuję przez jego turbinę, i wypadam jako długi obłok krwistej mgły, rozwleczona na kilometry, a ponieważ temperatura jest tak niska, więc jestem skryształizowana. Ogromnie długie ramiona, z pewnością ci się to spodoba. A potem kondensują się znów w łóżku, sszp, jako ciepła i niewielka ja. Z pewnością ma to coś wspólnego z moim poziomem estrogenu. Ale tak pewnie wygląda podróż telefoniczna. Chcę powiedzieć, że tak na pewno wygląda.

- Och, cudowna jesteś, wszystko mi opowiadasz.

- Na to wygląda, nie? Bardzo dla mnie niezwykajne.

- Czyżby? - rzekł. - Boże mój, ja wyznaję wszystko nie przymuszany. Ale rzadko mi się zdarza, bym z posianego ziarna zebrał dziesięciokrotne plony.

- Opowiedz mi do końca, co przydarzyło się z twoją Emily.

- Dlaczego? Nie, pomyślisz wtedy, że naprawdę jestem śmiesznym typem.

- Bo jesteś - powiedziała.

- Masz rację, jestem.

- Nic sobie z tego nie rób, ja też jestem. Chcę tylko wiedzieć, co się z tobą dzieje, kiedy trzymasz w ramionach kobietę. W przeciwieństwie do wydzwaniania po katalogowych dystrybutorach albo nieznajomych o nazwisku Klein czy coś w tym stylu, nie żebym uważała to za bzdurne zajęcia. Czego w końcu dokonaliście razem, ty i Emily?

- W rzeczywistości nigdy nie trzymałem jej w ramionach, to muszę ci od razu powiedzieć. Będiesz więc z pewnością rozczarowana. W gruncie rzeczy historia jest całkiem przeciętna, ale powoli nabieram ochoty, by ci nią choć trochę zaimponować.

- Zaimponuj mi swoją otwartością, to twój styl, jak mi się zdaje.

- A zatem sprawa miała się tak - powiedział. - Po tym, jak jej pokazałem ten rysunek, a był to swego rodzaju moment konkludujący, zaczęliśmy się odnosić do siebie z większą rezerwą. Cóż zresztą można było więcej powiedzieć? Wyłożyłem wszystko na stół, ona zaś to zdecydowanie odrzuciła. Ale jakiś czas później urządzaliśmy dla kogoś przyjęcie pożegnalne, Lee flirtował na nim z Emily w tym swoim wyzywającym, „nic-mnie-nie-ruszy” stylu. Nie cierpię sposobu, w jaki pożera orzeszki. Pięćdziesiątkę ma na karku, a pytany o coś odrzuca do tyłu głowę, pakuje w gębę furę orzeszków i zaczyna gadać chrupiąc i chrzęszcząc. A jeszcze stara się być przy tym sardoniczny! Zupełnie jak w czasie jakiejś telewizyjnej fety zmuszającej ludzi do wygłupów. Oczywiście zdarzają się okazje, kiedy tak bardzo chcesz coś powiedzieć, że mówisz z pełnymi ustami, ale to mi nie przeszkadza. Denerwuje mnie natomiast, gdy specjalnie gadasz z pełną gębą, żeby pokazać, jak bardzo spontaniczny i zrelaksowany z siebie rozmówca. To wszystko z ciągłego oglądania reklam tych rozmaitych chrupek i prażynek. Nie cierpię więc wyraźnie typa, bawi się na przyjęciu, ale w połowie zabawy przydarza się między nim a Emily coś złego, po prostu niówi jej wyraźnie, że owszem, przyjemnie mu się z nią flirtuje, ale nic poza tym, jest żonaty. Emily opowiada mi to na parkingu, prawie płacze, potem kucając zbliża twarz do bocznego lusterka mego samochodu, ogląda się i mówi: „No tak, wyglądam rzeczywiście jak wrak”. Najlepsze, co mogła powiedzieć; w gruncie rzeczy dodaje jej to tylko wrażliwości i uroku. Nie, nie powinienem tak mówić, jest naprawdę bardzo miła. Tak więc przez cały następny tydzień rozprawiałem z nią o Lee i nikim innym, omówiliśmy każdy możliwy aspekt sytuacji, aczkolwiek powstrzymałem się przed powiedzeniem jej, że Lee wydawał mi się odpychający i dziecinny; poza tym obgadaliśmy wszystko. W końcu miałem już dość tej nie kończącej się gadki, spróbowałem więc zmienić temat: „Słuchaj, potrzebuję twojej rady w jednej

sprawie...” Wiedziałem bowiem, że powinna się oderwać od swoich problemów. Znowu wychodziliśmy razem z pracy, była szósta po południu. I niespodziewanie okazało się, że, czystym zrzędzeniem losu, wybrałem się z moją prośbą w idealnym co do sekundy momencie: mało się nie przewróciła, nagle uwolniona od brzemienia, znowu gotowa nieść pomoc, pociągnęła mnie do kawiarenki po drugiej stronie ulicy: „Chodź, możemy tam usiąść”. I tak przy filiżance kawy dodającej animuszu opowiedziałem jej, w czym rzecz. Wyciągnąłem poskładany fragment gazety, rozprostowałem, przyjrzałem mu się, spojrzełem na nią, znowu na gazetę, wreszcie rzekłem, iż zastanawiam się nad zamieszczeniem anonsu w dziale „Kontakty” życząc sobie czegoś bardzo specjalnego. Okazała uprzejmie zainteresowanie, powiedziałem więc: „Tak to miałoby wyglądać” i wręczyłem jej gazetę: był w niej wypełniony przeze mnie formularz ogłoszenia. Napisałem w nim... ale tu cię pewnie zawiodę.

- Niczego innego się nie spodziewam.

- Dobrze. Brzmiało to mniej więcej tak: „Siedzisz obok mnie na sofie, oglądamy porn-video nie dotykając się wzajemnie. Ty, niska albo wysoka, itd., pragniesz, abym ujrzał, jak rozkosz przeobraża ci rysy. Ja, kaw., biały, 29 l.”.

- Naprawdę chciałeś dać to ogłoszenie?

- Tak, raczej tak. Chociaż nie, pewnie bym tego jednak nie zrobił. Nosilem je przez jakiś czas w kieszeni, aż w końcu nabrało mocno znoszonego wyglądu.

- I jak zareagowała?

- Powiedziała: „Cóż, możesz próbować, ale bardzo wątpię, by ktokolwiek się zgłosił”.

Co zresztą było prawdą.

- No, nie wiem.

- Nawet jeśli się myliła, to i tak nie miałbym najpewniej ochoty na to, czego początkowo chciałem. Wiesz, obcy ludzie, niezręczność spotkania... Trzeba by się tak wysilać, by przebrnąć przez całą tę drętą konwencjonalną paplaninę. Mój kutas nigdy by tego nie zniósł. W rzeczywistości chciałem wręczyć Emily ów poskładany kawałek gazety i obserwować ją przy czytaniu. „Co sądzisz, może lepiej pozbyć się tego pretensjonalnego sformułowania o rozkoszy przeobrażającej rysy?”, zaproponowałem. „Ale to przecież jedyny dobry kawałek”, odrzekła. Zapytałem wtedy, czy gdyby była mną... powiedziałem: „Wiem, że ty to nie ja, ale gdybyś była na moim miejscu i taki właśnie cel chciała osiągnąć, jak byś to ujęła?” Odparła: „Dobrze, ale musisz mi powiedzieć, co rzeczywiście chcesz osiągnąć, swoimi słowami, wtedy będę się lepiej orientować”. Więc powiedziałem, że, no, tego, hmm, chciałbym, rozumiesz, siedzieć na sofie, obok kobieta, leci taśma video, ona patrzy tylko na

ekran i ja patrzę tylko na ekran, a ona się, eee, no, onanizuje i gdy zaczyna szczytować, mówi: „Patrz na mnie”, patrzę teraz na nią, ona wciąż wbija oczy w ekran, dochodzimy oboje. Więc ona, Emily, mówi: „W porządku, dobrze, teraz wiemy już, od czego zacząć”. Wyciąga pióro i zaczyna szkicować tekst ogłoszenia na serwetce: „Siedzimy we dwoje”, mówi: „Nieźle, całkiem nieźle, swobodnie, o to chodzi”. Chyba naprawdę była zadowolona, że Lee przestał już być tematem rozmowy. Stuka końcem pióra w serwetkę i patrzy na mnie: „Nie, musisz sytuację przedstawić znacznie jaśniej. Musisz dać jej odczuć, że wszystko jest w porządku. Powinieneś wspomnieć o jakimś kocu”. Nagle koc, ni z gruszki, ni z pietruszki! Nie, zaraz, jeszcze coś powiedziała zanim wspomniała koc, mniej więcej tak: „Musisz sprawić, by kobieta czytająca ogłoszenie wiedziała, że oprócz deprawacji jest w tym jeszcze głębszy sens”. Nie dosłownie, ale w tym stylu. Pojmujesz? I wtedy dopiero wyciągnęła ten koc. Pokazała zupełnie nowe oblicze. Mówię: „W porządku, ale jaki? Uważasz, że należy powiedzieć, co to za koc?” Kiwa głową potakująco: „Tak, tak, zdecydowanie, konkretny typ, rozmiar, grubość, kolor, przecież to ma im wystarczyć”. Mówię: „Dobrze, więc jaki? Zielony wojskowy, pikowany pled mormonów, coś innego?” Zastanawia się przez sekundę i mówi, powiada: „Chyba powinien to być koc z frędzlami”. Ja na to: „Ale nie mam koca z frędzlami”. „No tak, to kłopot”, mówi ona. A potem zaczyna mnie zasypywać pytaniami: „Jak daleko jest od telewizora do kanapy?” Oczywiście nigdy nie była u mnie w mieszkaniu. „Telewizor jest na kółkach, więc trudno mówić o jakiejś stałej odległości - odpowiadam - ale kabel ma ograniczoną długość, zatem pewnie jakieś dwa metry”. Emily zapisuje, po czym mówi: „Bo, rozumiesz, kobieta przerzucająca ogłoszenia może chcieć to wiedzieć. Taki drobny szczegół może mieć największe znaczenie. Dalej, twoja kanapa jest na dwie, trzy czy cztery osoby?” „Na trzy”. „Tak to wygląda?” pyta i zaczyna rysować na serwetce sofę i telewizor. „Nie, nie tak”, mówię i szkicuję rozkład pokoju, same ściany, drzwi, sofę, gniazdka elektryczne. Paroma kreskami i strzałkami zaznaczam, gdzie będziemy siedzieć. Ogląda plan, kiwa głową i mówi: „Doskonale. Druga sprawa: nie możesz powiedzieć tylko ‘porn-video’. Jaki konkretnie film masz zamiar puszczać w tym czasie?” „Uop, pornograficzny, to jasne - odpowiadam - ale pewnie wypożyczę kilka kaset przed jej przyjściem, sześć, może dziesięć, i będziemy próbować”. Kręci głową: „Nie wydaje mi się, żeby ci ktoś odpowiedział na tak nieprecyzyjne ogłoszenie. Musisz się naprawdę w to zaangażować”. „Ale wiesz przecież - mówię - że na rynku są tysiące pornusów!” Ona na to: „Właśnie! Czy to będzie jakiś znany jej już klasyk, czy też coś, czego jeszcze nie oglądała? Nowość dla ciebie czy nie? Różnice niewielkie, ale kluczowe”. I dodaje: „A poza tym, jeżeli podasz konkretny tytuł, wtedy, rozumiesz, może przeczytać ogłoszenie, wypożyczyć taśmę i oglądając ją stwierdzić, że twój

anons pociąga ją coraz bardziej”. „Chollera, masz absolutną rację! Muszę rzeczywiście podać tytuł”, mówię. „Tyle że pojęcia nie mam, co wybrać. Wiem, co sam lubię, ale jaka akurat taśma może ją zainteresować?” I tu, ku mojemu zdumieniu, Emily ma pomysł: „Pozwól, że coś ci zaproponuję: film dubbingowany. Zagraniczna dubbingowana taśma”. Wyjaśnia mi, dlaczego: będzie to bardziej złożone, ruch na ekranie, oczywiście, ale postacie mówią o seksie po włosku albo po francusku, amerykańscy aktorzy podkładają wszystkie te ochy i achy, a zwykle aktorzy robiący dubbing są lepsi od aktorów, którzy muszą równocześnie figlować i grać. I żadnych buduarów z L.A., pretensjonalnych kominków z L.A. odbijających się w pretensjonalnych kieliszkach z L.A., żadnego lokalnego Rona Jeremy. Może nie powiedziała tego dokładnie w ten sposób, ale o to jej chodziło. A potem, dalej szalenie konkretna, mówi: „Na przykład „Atom Home Video” ma parę niezłych dubbingowanych kaset”. Odstawiam więc z hałasem filiżankę kawy i mówię: „Zgoda. Akceptuję wszystko, co powiedziałaś. Podam wymiary kanapy, podam tytuł dubbingowanego włoskiego pornusa wysokiej klasy, ale nie ufam sobie na tyle, żeby kupić właściwy koc. Martwi mnie to, bo widzę teraz, że do kompletu rzeczywiście potrzebny mi jest odpowiedni koc. Pomogłabyś mi go wybrać?” Pyta: „Jeszcze dziś?” Mówię: „Tak, to musi być dziś, naprawdę, bo jutro chcę zamieścić ogłoszenie i muszę, jak powiedziałaś, dołączyć rozmiar, kolor, wszystko, jeśli anons ma zadziałać. Potrzebuję twojej pomocy”. I Emily się zgadza.

- Jaki koc kupiliście?

- Poszliśmy do sklepu z okazjami, zakazane miejsce, odblaskowe kolory, w jakiejś uliczce niedaleko biura, trafiliśmy do działu z kocami, cała masa pledów poupychanych w przezroczystych plastikowych workach zamkniętych zatrzaskami, niektóre okropne, inne nie takie znów złe. Dziwaczne odczucie, wiesz, bardzo, jakbyśmy byli autentyczną parą szukającą po sklepach koca. Emily przebierała wśród pledów, oglądała jeden i drugi, ja pytałem: „Co powiesz o tym?”, miętosila go, robiła pełną zastanowienia minę i kiwała głową. Ale gdy wreszcie przemierzyła cały dział, powiedziała: „Nic z tego, nie ma tu po prostu żadnego koca z frędzlami, to znaczy naprawdę z frędzlami. Chyba lepiej już pójść”. Ja na to: „Nie, chodźmy do innego sklepu!”, a ona: „Bez sensu, dobre sklepy będą pozamykane, zanim do nich dojdziemy. Gdyby tu mieli jakieś uczciwe wyroby, pomogłabym ci chętnie w wyborze, ale teraz musisz chyba zająć się tym sam”. No, mało nie oszalałem. Zacząłem oglądać koce jeden po drugim, gotów byłem poprosić kierownika, by przeszukał magazyn. I szlag mnie mało nie trafił, ale wreszcie znalazłem niewielki akrylowy koc, leżał upchnięty gdzieś na górnej półce, zwyczajna niebiesko-zielona krata, żadne cudo, możesz być pewna, ale z grubą poskręcaną frędzlą. Emily obejrzała go, dotknęła materiału, i czerwieniąc się

powiedziała: „Ten jest w porządku”. Poszedłem więc prosto do kasy, żeby zapłacić. W worku na kartonowej wkładce z napisem „Koc Seedycrest - włókno akrylowe - gatunek pierwszy” był reklamowy wizerunek kobiety uśmiechającej się przez sen pod kocem; czekając, aż sprzedawczyni wystuka numer wyrobu, spojrzeliśmy oboje na ten obrazek... słuchaj, nic, ale to absolutnie nic nie mogło być bardziej od niego obsce-niczne.

- Ile zapłaciłeś?

- Dziesiątkę chyba, coś takiego, nie pamiętam już. Nie zastanawiając się, wziąłem jeszcze ostatni numer «People». Wróciliśmy do samochodu, szczęśliwym trafem udało mi się go zaparkować nie tuż przed sklepem, ale trochę dalej, z boku, byliśmy moim samochodem, stałem więc nieomal naprzeciw wypożyczalni filmów. Nie rzuciła się przedtem specjalnie w oczy, ale teraz, gdy zapadał już zmrok, błyskały nad nią świetlne reklamy, Video Video Video, najjaśniejszy punkt na całej ulicy. Otworzyłem dla niej drzwi samochodu, wsiadła, a ja podałem jej koc zapakowany w ogromną torbę i powiedziałem: „Poczekaj chwileczkę, zaraz będę z powrotem”, po czym pomknąłem do wypożyczalni, przeszedłem do wydzielonej części dla dorosłych i zacząłem przeglądać kasety. Brakowało mi tchu, zmysły miałem jak wyostrzone, gdy przerzucałem pudełka: gdzie „Atom”? „Atom”? „Atom”? Wiedziałem, że wolno mi wybrać jeden tylko film, ten właściwy, co wydawało się niemożliwe, ale czułem, jak unosi mnie nieodparty przyptyw fortuny, znalazłem kilka taśm

„Atomu” pośród rozmaitych „Caballero Controls”, „Cal Vistas” i innych mało znanych producentów, i wypożyczyłem film zatytułowany Głęboka rozkosz. Rozumiesz, tytuł aż zajeżdżał tłumaczeniem: ideał. Wpisałem się do klubu, wziąłem taśmę, po pięciu minutach byłem z powrotem w samochodzie. Emily przerzucała spokojnie «Pe-ople». Spytała: „Co wybrałeś?”, odparłem: „Nazywa się Głęboka rozkosz”. Zrobiła krótko: „Och! - i spytała; - Będziesz go dzisiaj oglądać?” „Muszę - odparłem - muszę się w to wgryźć, przekonałaś mnie całkowicie”. Powiedziała: „Jeszcze raz, żebym nie miała wątpliwości: chcesz przez ogłoszenie znaleźć kobietę, która zasiadłaby na kanapie obok ciebie, oglądała film i robiła sobie palcówkę, tak?” Położyła delikatnie dłoń na pudełku z taśmą. Odrzekłem: „A-ha”, ona: „Tylko to, nic innego, wyłącznie to i nic poza tym, zgadza się?” Powiedziałem: „Tak, tylko to. I wiesz, wydaje mi się, że potrafię teraz sformułować tak ogłoszenie, że znajdzie się kobieta gotowa to zrobić, oczywiście dzięki tobie. Pomogłaś mi wybrać odpowiedni koc, a teraz, gdy już mam właściwy film... - Tu zawahałem się, ale ciągnąłem dalej. - Wydaje mi się, że to właściwy film, chociaż... i to mnie niepokoi. Skąd mam wiedzieć, że akurat ten będzie dobry albo które momenty w nim są...?” Dojechaliśmy tymczasem na biurowy parking, stanąłem tuż za jej samochodem... wysiądzie albo nie. Powiedziałem: „Słuchaj, jestem w

kropce. Nie znam się zupełnie na importowanych pornusach, potrzebuję tu twojej rady. Sam nie będę w stanie ocenić, nie będę pewien”. Spojrzałem na nią, ona spoglądała na mnie - a pamiętasz, że spędziłem godziny przysłuchując się jej głośnym rozmyślaniom na temat Lee - i powiedziała: „Dobrze”. Pojechaliśmy więc do mnie.

- Dobry był ten film? - zapytała. - Jakież statuy?

- Statuy? Ach, masz na myśli posągi? Nie, nie mam pojęcia, czy akcja rozgrywała się w Rzymie. Historia kobiety, która prowadziła jakąś grupę fałszerzy pieniędzy, ukrywali banknoty w trumnach. W jednej ze scen uprawia seks z facetem w cyrkowym krawacie, szerokim, żółtym i ze znakiem dolara. Bezsensowne i głupie, ale bez znaczenia, Emily miała rację, fakt, że film był dubbingowany wzmagał nieprawdopodobnie erotyzm. I piersi aktorek też wyglądały jakoś rzeczywiście europejsko: nie takie kukurydzą tuczone i symetryczne, ale bo ja wiem, może to też było złudzenie wywołane ścieżką dźwiękową.

- Patrzyłeś więc na film czy na Emily? Jak ona była w ogóle ubrana?

- Miała spódnicę, jakąś swetrowatą górę z krótkimi rękawami, ciemnoczerwoną, o ile pamiętam, ciemna czerwień i wąskie poziome złote paski. Słodkie nieduże, wyniosłe, eleganckie cycuszki, w tym swetrze, oczywiście.

- A ty w marynarce i krawacie?

- Tak jest. Wprowadziłem ją do mieszkania, rozkład jest taki, że z małego bardzo przedpokoju z kuchnią po lewej wchodzi się od razu do bawialni, weszła więc poprzedzając mnie do pokoju i choć specjalnie nie włączyłem w nim żadnych świateł, to jednak masz, pod jedną ścianą sofa, pod drugą telewizor i video, i zdawać się mogło, że łączy je fosforyzująca przerywana linia, były zespolone, nic się w pokoju poza nimi nie liczyło, i ujrzałem, jak Emily odwraca się do mnie gwałtownie, by nie musieć jeszcze patrzeć w głąb wnętrza, kładzie na podłodze torbę z kocem... och, zapomniałem o jednej ważnej rzeczy, jaka przydarzyła się w samochodzie. Zaparkowałem z tyłu mojego bloku, przeszedłem na jej stronę, by otworzyć drzwi: wręczyła mi wpierw torbę i egzemplarz «People», po czym wysiadła i wyciągnęła rękę po koc.

Wydawało mi się to absolutnie normalne, że, nie wiedzieć czemu, koc niesie właśnie ona. Ja miałem taśmę, ona koc. Postawiła w każdym razie torbę na podłodze w pokoju i powiedziała: „Więc co, zrobimy turę po twoich włościach?” Konwencjonalność tego wyrażenia pokazała mi, jak bardzo była zdenerwowana, tym niemniej należała do ludzi, którym nerwowość pomaga, rozumiesz? Denerwują się w taki sposób, że odkrycie ich stanu jest dla ciebie zaszczytem. Pokazałem jej zatem kuchnię, sypialnię, łazienkę... kiwnięciem głowy zaaprobowwała magnesy na drzwiach lodówki, cudownie zdenerwowana. Wymieniłem,

co może dostać do picia, poprosiła o herbatę z kwiatu pomarańczy i poszła do łazienki. Wstawiłem herbatę do kuchenki mikrofalowej. Zwykle robię naturalnie jedną, nastawiam grzanie na dwie minuty, teraz uznałem, że potrzebne są cztery, bo jest więcej płynu, ale było to mimo wszystko za dużo, herbata była bardzo gorąca. Wyszedłem z kuchni niosąc dwie filiżanki i ujrzałem, że siedzi znów w pokoju, odwrócona do mnie tyłem: przyglądała się monitorowi, taki szmatławy telewizorek zrobiony na Malajach, choć każdy nie wie, czemu myśli, że jeśli masz video, to już musisz mieć do niego wielki monitor, nie wiem, trudno mi powiedzieć, ale nawet jego mały ekran pasował do tego wieczoru. Tak czy inaczej zsunęła z ramienia torebkę, kładąc ją na bieżniku pod ścianą obok najbardziej oddalonego od kanapy fotela, buty zdjęła również i postawiła je obok torebki, ustalając w ten sposób dla siebie mały niekanapowy obszar. Wyszedłem na sekundę do łazienki, gdy wróciłem, siedziała na kanapie kartkując numer «People» w przyćmionym świetle dochodzącym z kuchni. Nie włączyłem wciąż żadnych lamp w pokoju, ponieważ wyłączenie ich później byłoby raczej niezręczne. Udała trochę, że wytrąciłem ją z lektury puszczając telewizor, bez fonii na razie, powiedziała coś na temat Arsenia Hali i jego programów. Tak było to bez związku, że sama się uśmiechnęła: siedziała przecież na sofie, telewizor był włączony, i ten super-hyper-wysoki ton wydawany przez naładowany elektrycznie ekran kineskopu, jaki możesz czasem usłyszeć nawet z ulicy, jeśli tylko okna są otwarte, odgłos telewizora wychodzącego z ukrycia, przyznającego się do istnienia nawet z wyciszoną fonią, ton, który twoje ucho zaczyna wylapywać coraz lepiej wieczorem, doceniać go, ton oznaczający prywatność i domowość, i zaciągnięte kotary, i także sekret, bo to zupełnie jakbyś przemykała się z łóżka o szóstej rano, by oglądać ulubiony program, wyciszałaś maksymalnie fonię, żeby tylko rodzice nie wykryli, ale i tak pozostawał strach, że choć te wysokie tony przenoszą się niby z trudnością, to jednak mogą zawędrować na górę do sypialni rodziców i uświadomić im, że nie śpisz i oglądasz telewizję, co zakłóciłoby ich sny... ten dźwięk był razem z nami w pokoju i choć na ekranie poruszały się tylko jakieś konferencyjne twarze, wiedzieliśmy, co on naprawdę oznacza. Emily wskazała swoją filiżankę z herbatą i rzekła: „Wiesz, pomyślałam, że może jednak mógłbyś dolać kapkę bourbona czy czegoś”. Co też zrobiłem. Włożyłem taśmę, aparat połknął ją z charakterystycznym dźwiękiem, podkreśliłem fonię i już, nawet bez żadnych policyjnych przestróg, pojawił się znak producenta, Atom, cały w błękitach, z taką uou-uou-uou-uou sinusoidą podkładu muzycznego skupiającą się na jednej nucie, gdy znak nabierał ostrości. Nawet stylizowane wyobrażenie atomu tam było: na swój sposób wzruszające, zobaczyć symbol oznaczający niegdyś postęp i futu-rologię, i chemię, i w końcu piekło promieniowania, teraz zaś mówiący po prostu: „Pamiętaj, że musisz ten seks-film

wziąć bardzo serio, równie serio jak coś, czego odkrycie wymagało akceleratora liniowego; oczywiście możesz udawać, że cię to śmieszy, ach, jakież to komiczne i głupie, ale w gruncie rzeczy nie masz się z czego śmiać, bo obojętnie ile razy będziesz oglądać u siebie sfilmowany dla dorosłych seks, już samym wypożyczeniem taśmy poświadczasz fakt, iż wciąż jest w stanie czymś cię zaskoczyć, zawsze kryje coś cudownego, zawsze jest dobrodziejstwem". Potem pokazały się krótkie zapowiedzi. Wręczyłem jej pilota mówiąc: „Możesz przewinąć do przodu, jeśli cię znudzą”. Zapomniałem zupełnie o zapowiedziach: wariacki montaż, bez żadnego związku, nagle wałą cię po oczach podskakujące nany albo ktoś zlewa się na białło. Pamiętam, jak wybrałem się kiedyś na picer-ski film z Richardem Dreyfussem, o ile się nie mylę, bo to dawno już temu, dla dorosłych, ale słaby przy tym, rozpacz i beznadziejność, w jaką zawsze popadają filmy usiłujące sprzedać pornografię jako sztukę, strasznie ponury, rzecz jednak w tym, że był to oficjalnie dopuszczony film, ale ze względu na kategorię grany był w kinie wyświetlającym pornografię, musiało to być gdzieś w latach siedemdziesiątych, i pamiętam kobietę i mężczyznę idących przede mną lekko spadzistym przejściem wiodącym od kasy, nieśli pudełka prażonej kukurydzy, jako że mała prażalnia, normalnie zamknięta na głucho, otwarta została specjalnie dla uhonorowania tego dzieła wielkiego artysty, para minęła zatem wejście, słyszeli już wstrętne dźwięki elektronicznej muzyki, wykręcili na salę i bum, nagle znaleźli się w ciemnościach, rozglądali się ponad rzędami krzeseł, gdy przed nimi pokazywano zapowiedzi, które były oczywiście zapowiedziami zwykłych pornusów, pięć może albo sześć, na ekranie więc widać było gigantyczne ujęcie Brigitte Monet czy innej jakiejś sławy obciążającej z głośnym mlaskaniem ogromną sterczącą pałą, elektroniczne oktawy dudniły swoje, i dostrzegłem, jak kobieta zatrzymuje się w miejscu, łapie ramię mężczyzny i spogląda mu w twarz błagalnie: „Obiecywałeś, że to nie będzie taki film!”, jej przyjaciel robi grymas przerażenia: „Wybacz, nie wiedziałem”, „Ck-ck-ck” zrobiłem za ich plecami na znak subtelnego potępienia tego, co działo się na ekranie, ponieważ chciałem, by żadne z nich nie uważało, że popełnili okropną pomyłkę, by ona nadal go lubiła, chciałem wtedy, miałem może osiemnaście lat, by kobiety zobaczyły, na czym polega cudowność filmów dla dorosłych, wciąż tego zresztą w pewnej mierze chcę, po części udało mi się to przez ostatnie piętnaście lat osiągnąć przy pomocy video, choć ty, jak sama mówisz, mając wybór sięgnęłabyś bez większego zastanowienia po wiktoriańską powieść, i pewnie nie bez racji, ale chciałem uspokoić tę kobietę, zapewnić ją, że wszystko jest w porządku, do kina przychodzą przecież ludzie tacy jak ja, normalni, opanowani inteligentni mężczyźni, nie oznacza to wcale upadku cywilizacji; cmokałem więc z dezaprobatą, mimo iż widok robionego lodu nie przeszkadzałby mi w niczym, gdybym oglądał to sam... czułem jej

wahanie i, niczym pośrednik prowadzący klienta specjalnie wybraną trasą, lepszymi, przyjemniejszymi ulicami do oferowanej mu nieruchomości, chciałem, by trafiła delikatnie prowadzona do graficznego przedstawienia wytrysku, by sprawiło jej to przyjemność, nie zaś wychodziła zde gustowana męskimi upodobaniami; czuję się nieraz podobnie widząc zagranicznych turystów w znajomym mi mieście, gdy błądzą zaskoczeni w jakiejś zakazanej dzielnicy, chcę wtedy podejść do nich i powiedzieć: „Wiem, że taką właśnie trasę podaje wam przewodnik, ale to bez sensu, nasze miasto wygląda naprawdę inaczej, przypatrzcie się tylko tej czy tamtej dzielnicy”... rycersko pragnąłem osłonić tę kobietę przed brutalnością grubego chuja z nadchodzących atrakcji, podobnie jak kiedyś wyobrażałem sobie, jeszcze mały chłopak, że wypływam na powierzchnię z uratowaną kobietą w ramionach, oddaję jej ustnik mej butli tlenowej, wyciągam ją na łódź, zdejmuję mokry kostium i wycieram ręcznikiem, gdy ona odzyskuje oddech i kręci głową uświadamiając sobie bliskość niebezpieczeństwa.

- „Och, dziękuję ci, Popeye, żeś mnie wybawił od tego wielkiego prostackiego wała!”

- Właśnie. Mam ci dalej opowiadać? - Tak.

- Dobrze. Leciała więc ta zapowiedź jakiejś okropnej czkawki po Caliguli i Devil in Miss Jones, coś w tym stylu, pełno niepotrzebnych wyglupów, nie cierpię tego, rzędy pochodni, karły, ale oczywiście pośród tych bzdur: łup, szokująco wyraźne normalne sceny z seksem, których nagłość dochodziła do mnie poprzez Emily, ponieważ Emily była moim gościem i oglądała je siedząc na mojej sofie. Zapowiedzi skończyły się, pojawił się znów nabierający powoli ostrości znak „Atomu”... skierowałem na nią wzrok. Patrzyła wprost na ekran, światło z kuchni rozjaśniało od tyłu jej profil, nogi miała skrzyżowane, jedno ramię złożyła na brzuchu, w lewej dłoni trzymała filiżankę herbaty. Jej spódnica miała plisy. Wyglądała tak nieprawdopodobnie ubrana. Uniosła filiżankę, zobaczyłem, jak dotyka jej ustami: herbata była wciąż gorąca, musiała więc pociągnąć długi ostrożny łyk, odrywając płyn od powierzchni i zamieniając go w herbacianą rosę, zmrużyła lekko oczy czując dotknięcie delikatnej gorącej mgły na czubku języka. I w tym momencie rozpoczął się film: Głęboka rozkosz. Służąca słyszy dzwonek, tym się to zaczyna, niesie coś na tacy do jakiegoś typa, rozmawiają przez chwilę, ona wychodzi.

- Wypożyczałeś ponownie ten film? - spytała.

- Dwa razy. To nawet jeden z tych trzech, które dziś przyniosłem, pewnie ich i tak nie obejrzę. Opowiadanie ci o nim to większa frajda. Nieważne; służąca wychodzi, słyszymy łagodną seks-muzykę, elektroniczny europop, a potem od razu ostre przejście kamery do półnagiej kobiety, męskiego kutasa i synchronizowanych jęków. Kobieta: późna trzydziestka,

bardzo atrakcyjna, z upiętymi na karku włosami. Emily patrzy na to może przez minutę, po czym spogląda w stronę okna i mówi: „Jesteś pewien, że nikt nas nie zobaczy?” W oknach wiszą zasłony, ale naprawdę nie miałem pewności, czy ktoś nie mógłby nas dostrzec, mieszkanie jest na parterze, od bocznej strony, troska była więc w pełni uzasadniona, wstałem zatem, wziąłem klucze i powiedziałem jej, że wrócę za moment, po czym wyszedłem na zewnątrz i spróbowałem spojrzeć przez okno do środka, lecz chroniło nas zaskakująco dobrze: nie tylko nie sposób było dojrzeć Emily ani niczego w pokoju, ale i włączonego telewizora nie można było dostrzec, pewnie dlatego, że to mały odbiornik. Wróciłem do mieszkania, usiadłem lekko zdyszany i powiedziałem jej, że z zewnątrz nie widać niczego. „Świetnie, dziękuję”, mówi na to. Ja pytam: „Co się działo tymczasem?” Odpowiada lekko nienaturalnym głosem: „Rznęli się na rozmaite sposoby, kobieta i jej kochanek”. Scena zresztą jest dalej bez zmian: italianiec, niejaki Mario, trzyma między jej piersiami zadziwiająco długiego kutasa; pamiętam, jak widząc to odwracam się natychmiast w stronę Emily i przyglądam się jej oczom: za każdym przejściem kamery przemieszczają się minimalnie, widzę to, w poszukiwaniu głównego punktu, środka ciężkości następnego obrazu. Filmy pornograficzne prawie zawsze cechują się ustawicznymi przejściami w przód i w tył robionymi z dwóch albo trzech pozycji kamery, wiem więc, co to za ujęcia, ale mimo to śledzę oczy Emily: powiedzmy, że mamy to zbliżenie głowy kobiety kiwającej się przy obciążaniu kutasa, to znów oddalone ujęcie pokazujące ją, jak klęczy na łóżku odgarniając włosy sprzed kamery, a Mario leży na wznak, A B A B, i mogę dostrzec w tęczę oka Emily paletę zmieniających się barw, zobaczyć, jak dokonuje owych drobnych precyzyjnych korekt. Magia widzenia. Na twarzy ma wyraz wielkiego skupienia, speszzenia, zaciekawienia, niesmaku. Gdy scena kończy się, pytam: „No i co o tym sądzisz?” Chcę po prostu słyszeć jej głos. Mówi: „Tak się składa, że widziałam już ten film, przed rokiem chyba”. Oglądamy milcząc trzy następne sceny. Może więcej. Raz zadaję jej jakieś pytanie typu: „Czy to jeden z fałszerzy?”, odpowiada: „Tak”. Poza tym siedzimy w całkowitym milczeniu, gdy ci dający z siebie wszystko Europejczycy przewalają się i brandzlują, i obciążają, i jęczą, i dochodzą na naszych oczach, i to w obcym języku. Przynajmniej mężczyźni dochodzą. Kobieta naprawdę szczytująca przed kamerą to wciąż rzadkość w przeciwieństwie do tych normalnie się walących. Więcej bezsensownej elektroniki europa-pu, w końcu po gigantycznej scenie orgazmu Emily odkłada filiżankę, nabiera głęboko powietrza, wydycha nadymając policzki i uśmiecha się. Wybucham pełnym ulgi śmiechem, pytam: „Tak to pamiętasz?” Mówi: „Trochę mi zimno”. Otwieram więc plastikowy worek, rozkładam koc z akrylowej włóczki i okrywam ją, ale robię to ewidentnie źle, bo mówi: „Mógłbyś odwrócić go w tę stronę?” i pokazuje mi,

jak mam to zrobić. Otulam ją ciasno, frędzle dochodzą aż pod szyję. Znow siadam, skupiam się na filmie i znow to nagle uderzenie... masz sytuację, w której dwoje całkowicie ubranych biurowych znajomych zajmuje się ciepłym kocem, upycham dwa rogi za jej ramionami, to pewnie pierwszy raz, kiedy dotykam obu jej ramion jednocześnie, przytulność do kwadratu, powinniśmy rozmawiać o pierwszych zapamiętanych urodzinach albo czymś podobnym, ale odwracamy się do telewizora i masz, cycki dyndają, koafiura damy skacze w górę i w dół, gdy ta kołysze się na jakiejś nieokreślonej europale, i słyszymy: „O Mario, Mario!” Po pewnym czasie coś się dzieje pod kocem, wkrótce zaczyna jakby podrygiwać. Emily nie mówi ani słowa, nie zmienia nawet rytmu oddechu, utrzymuje się w formie. Ma zamknięte usta. Mówi: „Potrzyмай przez moment koc, żeby się nie zsunął, dobrze?” Robię to, ona zaś unosi biodra i marszcząc czoło wierci się znow pod okryciem. Jej twarz jest tuż obok mojej, ale nie patrzymy sobie w oczy. Po chwili wysuwa spod koca rajstopy z tkwiącymi w nich majtkami i okrywa na powrót nogi. Mówi: „Dziękuję” i ujmuje górny brzeg koca. Znow ledwo zauważalne, szybkie ruchy pod jego osłoną. Otwiera lekko usta, widzę, jak przyciska język do zębów, lekko, nieuchwytnie prawie porusza wargami: nie grymasy, to zbyt oczywiste i nieopanowane, nie, to doskonale kontrolowane, niedostrzegalne omal nagle drgnienia, jak gdyby parokrotnie gotowa była powiedzieć coś rozpoczynającego się od „juu-ż”. Na ekranie kobieta o nieruchomych ustach przesuwa w górę i w dół zaciśniętą na kutasie garść. Koniec sceny, koc Emily przestaje podrygiwać. Dochodzimy do momentu, kiedy typ w żółtym krawacie z symbolem dolara zabawia się z główną bohaterką, ta mówi: „Nie bałamuć, tylko mnie zerznij” czy coś takiego, i ten to robi. Ta scena rzeczywiście ją rusza, chwytą koc w zęby, żeby mieć obie dłonie wolne i równocześnie okryte... teraz dopiero zaczyna się wszystko unosić i falować, gdy lewą dłonią wędruje w tę i z powrotem między piersiami, a rytmiczne koliste ruchy poniżej stają się nieco mniej nerwowe.

- Co ty robisz w tym czasie?

- Gdy na ekranie pojawia się seks, to znaczy, gdy oglądamy jakąś konkretną scenę, przesuвам dłoń pod paskiem i obrabiam się przez spodenki. Ujęcie się kończy, ja wyciągam rękę i kładę ją niewinnie na udzie. W każdym razie ta scena z facetem w żółtym krawacie w dolary rzeczywiście ją podnieciła, już po wszystkim wypuszcza koc spomiędzy zębów i ociera usta wierzchem prawej dłoni, wypluwając przy tym drobne kłaczki akrylu, w odbłasku monitora widzę dwa jej palce lśniące wilgocią. Przeczekujemy całą drętwą „akcję”, nie obchodzą nas dialogi ani jazda samochodem czy inne bzdury, teraz oboje chcemy tylko widzieć jebanie, kropka. W następnej scenie są dwie kobiety i mężczyzna. Mniej więcej w połowie obawa, że to lesby, i widzę, jak koc Emily wibruje coraz wolniej, aż wreszcie

zamiera: kutasy przy robocie, to jej potrzebne. Na szczęście ujęcie nie jest lesbijskie, jedna z kobiet zadowolona się wybrzdąkaniem gdzieś na boku. Koc Emily zaczyna podrygiwać gwałtownie, tym razem jednak nie przytrzymuje go zębami, okrywa ją luźno, więc jej ruchy obsuwają go stopniowo w dół. Widzę, jak frędzle odsłaniają szyję, powoli odkrywają jej podciągnięty do góry sweter, potem podsunięty pod nim stanik, wreszcie rozkładają się pojedynczo niczym wachlarz, obejmują jej piersi, by je w końcu obnażyć. Owo łagodne zejście kończy się w talii. Waham się nieco przed gapieniem się na nią, obserwuję ją jakby kątem oka: widzę, jak uciska sutkę nie kontrolowanym, niech-to-palce-same-zrobią ruchem, po czym przenosi rękę na drugą pierś. Lewą rękę. I żadnych ochów i achów, wszystko cicho, oddycha tylko, czasem otwiera lekko usta albo je zamyka. W pewnym momencie zaciska wargi i wbija w nie zęby. Zauważam również, że, jak podejrzewam, przygryza czasem od środka policzki. Mogę teraz dokładnie powiedzieć, jaką pozycję przyjęły jej nogi: lekko rozstawione, między nimi koc, wierzch dłoni podrzuca go swobodnie... ale nie to mnie bierze, a jej całe ramię, odkryte i widoczne prawe ramię, frędzle przecinające je w przegubie, zgiętym, sięgającym w dół, kołującym, i najważniejsze jest to, że widzę jej prześliczne ścięgno długiego przedramienia, jak ciągnie i ciągnie władczo palce. Tylko na to patrzę. Filmowa scena dobiega końca, wyciągam dłoń ze spodni, Emily krzyżuje ręce na piersiach. Gwiżdże cichutko, odgrywa znudzoną. Na jednym ramieniu spoczywają trzy wilgotne palce. Czekamy, znów jakieś brednie. Bohaterka wchodzi do biurowego gabinetu z dwoma typami, których nie widzieliśmy wcześniej, obaj w ciemnych garniturach. Uważają, że zarzuca im wymigiwanie się z płatności za fałszywe banknoty. Bohaterka zwraca się do nich: „Panowie, mówię o moich własnych potrzebach”. I nagle dwóch facetów pod krawatem stoi po jej obu stronach, ona zaś siedzi w białych pończochach na biurowym krześle i obciąża wpierw jednemu, a potem drugiemu. Emily szepcze: „To jest to”, obie jej dłonie wsuwają się pod frędzle. Szepcze znów: „Chcesz trochę koca?” „Tak”, odpowiadam, więc przytrzymuje swoją połowę, by się nie obsunęła niżej, gdy ja naciągam część na siebie; oboje jesteśmy teraz przykryci od pasa w dół. Rozpinam pasek i spodnie, zrzucam swoje rzeczy. Masujemy się zawzięcie oboje, wyczuwam wierzchem dłoni, jak od jej krótkich ruchów pręży się koc. Przyciskam go kciukiem do samego końca mego stojaka w taki sposób, że zachowuję przyzwoitość, a jednocześnie mam lewą rękę wolną. Odwracam wzrok na Emily, patrzę, jak oczyma wodzi po dwukonnej scenie i spoglądam na jej piersi, mam ochotę ich dotknąć, ale wiem, że byłoby to tylko niepotrzebną komplikacją, błędem. Mogę pęknać w każdej chwili. Niespodziewanie scena kończy się: jeden z typów finiszuje nagle na twarz i piersi kobiety, drugi wyskakuje i tryska na jej ciemną kępę zaskakująco białą spermą. Emily pozostaje

niewzruszona. Pyta: „Nie przeszkodzi ci, gdy trochę cofnę?” Odpowiadam, że nie, wraca więc, by obejrzeć raz jeszcze dwa kutasy. Gdy taśma już leci, mówi do mnie tak jakoś miękko: „Przy tej scenie chciałabym już skończyć, wiesz”. „Dobrze”, mówię, ale znów ujęcie trwa za krótko i Emily musi cofnąć je ponownie. Tym razem patrzę już na nią, jest czerwona, policzki jej błyszczą, wygląda tak przemieniona, pełna erotyki i elegancji, spoglądam teraz w dół, obie jej dłonie zbiegają się pod kocem, oba przeguby wygięte niby łuki, aż ramiona popychają jakby piersi do środka, i pytam: „Mogę dotknąć twojej ręki?”, kiwa głową, a ja bardzo delikatnie kładę opuszki palców na wewnętrznej stronie jej przedramienia, tuż nad przegubem, wyczuwam nimi ścięgno napinające się raz po razie, i świadomość, że jestem niejako w stanie odczytać puls jej pieszczot jest przemożna, mówię: „Ja chyba już...” i zaczynam finiszować na koc; w filmie pierwszy typ ochlapuje bohaterkę i Emily zaciska nogi i rozpoczyna szczytowanie, gdy drugi robi to samo, Emily wciąż szczytuje, bez żadnych gwałtownych ruchów, szalenie skoncentrowana, ale w jej oddechu mogę się dosłuchać drżenia jej nóg. Cudowne naprawdę przeżycie. Podniosła potem rajstopy, a gdy doprowadziłem się do porządku, owinęła wokół siebie koc i odprowadziłem ją do łazienki, niosąc niczym giermek zmoczony spermą róg koca, by nie pobrudziła sobie nim spódnicy. Zawiozłem ją potem na parking, pocałowaliśmy się ceremonialnie, pożegnała mnie mówiąc: „Dziękuję, Mario”. Następnego dnia wysłałem jej kartkę z asteryskiem. I tyle. Doskonały wieczór, doskonały.

- Nie do powtórzenia, czy też?...

- Nie do powtórzenia. Biurowa znajomość nie wytrzymałaby zapewne więcej niż jednego wieczoru jednoczesnej masturbacji pod kocem bez utraty kontroli nad sytuacją. Tak w każdym razie wypowiedziałby się na ten temat podręcznik savoir-vivre. Aha, Lee przeszedł jej ostatecznie, w gruncie rzeczy może właśnie sprawiła to owa Głęboka rozkosz. Związała się teraz z jakimś naukowcem i jest zdaje się bardzo szczęśliwa. Nie mówiłem jej, że dwa razy już oglądałem film sam, przeżywając na nowo momenty naszego uniesienia. Odkryłem z zaskoczeniem, że obejrzelismy wtedy zaledwie połowę. Zaskoczyło mnie również i to, że gdy oglądałem go do końca, nie wydawał mi się już taki dobry, był dobry, bo ona go obejrzała, więc sceny, których nie widziała, wydawały się płaskie. No, niezupełnie płaskie, trochę ostrej akcji tam było, ale przewinałem film cofając go do miejsca, w którym kobieta zwraca się do dwóch typów: „Mówię o swoich własnych potrzebach”. Ponieważ rozmawiamy ze sobą szczerze, jesteśmy naprawdę otwarci, więc ci powiem, że ten wieczór z Emily mogę określić jako prawdopodobnie moje najlepsze seksualne przeżycie, czy przynajmniej jedno z paru wybranych. Szmer jej oddechu, gdy przygryzała od środka policzki! Boże mój! I ten koc,

zsuwający się z niej powoli. Albo jak ściska kolana. Tylko nie myśl, że ja, rozumiesz, nigdy nie normalnie... Ale nie wiem, wsuwasz do środka, pierwszy moment to raj, nie do porównania, a potem zaczynasz robotę i nie widzisz dobrze łechtaczki, nie możesz się naprawdę skupić na tym, jak to jest, gdy trzymasz dłońmi jej piersi, jak wyglądają w ruchu, jesteś roztargniony, mózg porusza ci biodra, tors, przytrzymuje jej miękkie uda... no, źle to nie brzmi! Ale, wiesz, gdy finiszuję w środku, doznanie jest mistyczne, tyle że stłumione, jak gdybym stracił poczucie wielkości mego przyrządu, bo złączył się z nią, stopił i jedyne co czuję to technikalnia, wewnętrzna struktura kanału i nabrzmiała bańka spermy, te rzeczy... tracę świadomość zewnętrznych obrzeży. Rozumiesz? Czy może ty wolisz fizyczną obecność kutasa?

- Cóż - powiedziała - gdy już we mnie siedzi, to nie będę go wyganiać. Choć po prawdzie, śmieszne, znów masz tu takie małe łajdactwa ślimactwa: gdy zaczynam zbliżać się do szczytowania, a jestem z mężczyzną, ogarnia mnie w pewnej chwili przemożne pragnienie, by mieć go w sobie, ale gdy oderwę go od tego, co akurat robi, by go wprowadzić, pierwszy moment jest cudowny, lecz potem cała ta dolna okolica staje się roztargniona, jak powiedziałeś, nagle ślimaczek konferuje bardzo ściśle z waginą i wypadam z rytmu. Lubię jednak wyobrażać sobie siedzącego we mnie kutasa. Chociaż, niestety, łapię infekcję po prawdziwym seksie, takim penetrującym, zdaje się, że powoduje ją tarcie.

- Dokładnie! Rozumiesz teraz? Kogo obchodzi mój kutas? On sobie da radę. Mówimy o twoim orgazmie. O twoim wybrzdąkanym orgazmie, radości z tego płynącej, z triumfu i wielkości. Myślę o chwili przez ciebie opisanej, kiedy szczytowałaś biorąc natrysk po pływaniu, i czuję się, jak gdybym miał wyciągnąć ręce, a spadnie w nie coś wspaniałego i cennego, co mam zatrzymać.

- Poskładany koc - powiedziała.

- Właśnie!

- Nie pomylę się chyba mówiąc, że interesują cię onanizujące się kobiety - rzekła.

- Chcę wiedzieć o każdej masturbacji każdej kobiety. Nie ma kobiety, która by przy tym nie była piękna. Pospolitość, nadwaga, kościstość, nawet wady charakteru, jakaś sknerowatość czy coś takiego, wszystko to wchodzi w skład tajemnicy jej nadzwyczajnej transfiguracji, całe zło zostaje z niej wyciśnięte w chwili, gdy zamyka szczelnie powieki i dochodzi. Było kiedyś takie niewielkie ogłoszenie, wiele męskich pism go zamieszczało, małe, centymetrowej wysokości, ze zdjęciem kobiety leżącej na plecach, dwa palce, tak to wyglądało, choć przy tej skali zmniejszenia bardzo trudno było powiedzieć dokładnie, dwa środkowe więc palce zagłębiała w sobie, nad tym nagłówek „Kocham to robić”. Zwałem się

przy nim chyba z pięćdziesiąt razy. Przeglądałem całostronicowe zdjęcia, ale gdy już byłem blisko, wtedy wyszukiwałem właśnie to ogłoszenie. Należało wysłać pieniądze do jakiejś Iksińskiej w Van Nuys, ta zaś miała ci przysłać sześć super fotek i parę majtek. Jasne, że nigdy tego nie zrobiłem, ale sam anons już stanowił maleńkie okno na inny świat, świat koncepcji: ponieważ w Van Nuys w Kalifornii jest jakaś Iksińska, która twierdzi, że lubi to robić, przeto w rzeczywistości pełno jest Iksińskich, nie marnują jednak czasu na ogłaszanie się w męskich pismach, a po prostu onanizują się, teraz, w tej chwili, i ta wizja napełnia mnie energią, niczego więcej nie potrzebuję od życia, bo wiem już, że kobiety się onanizują, nie mam pojęcia, gdzie i kiedy, ale robią to. Kiedyś, na drugim roku, wracałem z uczelni do domu, jechałem całą noc z dziewczyną z mojego akademika, która miała samochód, ja prowadziłem, i w pewnym momencie rozpadła się osobliwie ciepły deszcz... nie, naprawdę jechaliśmy razem, nic się absolutnie nie zdarzyło, i dopiero w ubiegłym roku, dziesięć lat później, kiedy zorganizowaliśmy spotkanie wszystkich mieszkających wówczas w akademiku, całkiem fajna grupa to była, ta sama dziewczyna usiadła obok mnie podczas kolacji i przyciszonym głosem opowiedziała mi w pewnym momencie, że podczas tej całonocnej podróży, o szóstej nad ranem, gdy ja prowadziłem, a ona miała niby twardo spać, zrobiła sobie „dobrze” z tyłu na siedzeniu, właśnie gdy mijaliśmy wielkie zakłady General Electric w Syracuse. Powiedziałem: „Ach, dzięki, dzięki, dzięki, że mi to wreszcie mówisz”. Przez dziesięć zaszranych lat ten jej sekretny orgazm przybierał na wartości. Czasem wyobrażam sobie, jak siedzę na pokładzie satelity i spoglądam z góry na Amerykę czy gdziekolwiek, bez znaczenia, choć zwykle myślę o Ameryce, i wszędzie rozbłyskują i gasną maleńkie światełka, każde z nich reprezentuje kobiety orgazm. To właśnie musi znaczyć „symultaniczny orgazm”: świadomość wszystkich tych jednocześnie zachodzących orgazmów. Być może kobiety szczytujące przy lekturze dają nieco inny odblask, błysk podczerwieni, niż te wyobrażające sobie coś przy tym czy szczytujące we śnie. Widzę je wszystkie: dziewczyna, która dziś wieczorem układała kawałki sardeli na mojej pizzy, Jill z biura, dla której kupiłem rajstopy, otyła wieśniaczka o tłustych włosach i brakującym siekaczu, dzisiaj nie stara się osłaniać szczyty, za dobrze jej jest, i tak nie ma nikogo, przed kim musiałaby się starać, i dlatego właśnie jest piękna; i kobieta wydająca bilety przy wjeździe na autostradę, i Blair Brown szczytuje, i Elisabeth McGovern, i ta aktorka z filmów Johna Hughesa, jakżeż się ona nazywała, miała śliczne usta, i Jeanne Kirkpatrick, i porno-gwiazdy również, ale bez kamery, Keisha i Christy Canyon... rozbłyskują wszystkie. Może to nie satelita, może siedzę raczej w ogromnym czarnym samolocie szpiegowskim, ale co to, ty

też tu się znalazłaś w górze, nadlatujesz w kierunku łopatek mych motorów, ho-ho, niespodzianka!

- Trochę to zbyt ogólne z twojej strony, wiesz? Używasz mnie jako namiastki wszystkich tych kobiet, które się akurat w tym momencie onanizują.

- Owszem, może dlatego właśnie wykręciłem ten numer, ale nigdy dotąd nie rozmawiałem w taki sposób z żadną kobietą. Ale nie, masz rację, rzeczywiście ten pomysł, że wiszę gdzieś dwadzieścia kilometrów nad ciemnym, pobłyskującym światłami kontynentem i wchłaniam całość kobiecych orgazmów może wydawać się nieco jednostronny. Ale ja naprawdę jestem jednostronny. Gdybym zadzwonił pod ten numer i odpowiedziałaby jakaś kobieta o wyjątkowo niskiej inteligencji, na przykład jak ta Carla, która odezwała się zaraz po twoim zgłoszeniu, i podalibyśmy nasze prywatne numery kodowe przenoszące nas do owego „buduaru”, gdyby szczytowała, a ja mógłbym z nią w tym czasie rozmawiać, byłoby to doskonałym usatysfakcjonowaniem, finiszowałbym również i po dwudziestu minutach odłożyłbym słuchawkę czując się wspaniale. Ale dlatego właśnie rozmowa z tobą to taka cudowna, jednorazowa sprawa, że jesteś rozbawiona i zabawna, i pobudzona, i rozkoszna... nie jesteś typowa. Przecież my rozmawiamy! Jeśli dojdiesz razem ze mną przy tej rozmowie, to, jeśli o mnie chodzi, to będzie najważniejsza pozycja w «Washington Week in Review», wspanialsze od wszystkiego, co twój brodaty pożeracz pulpetów kiedykolwiek doświadczył, naprawdę coś, ponieważ ty to pojmujesz, rozumiesz, reagujesz w złożony sposób, a oczywiście orgazm zachodzący w złożonym umyśle jest zawsze bardziej interesujący niż w nieskomplikowanym; chociaż może to nieprawda, może prosty umysł subtelnie i pięknie przy szczytowaniu, jako że to najbardziej duchowa czynność, jaka mu się przydarza od dawna., ale orgazm u kobiety inteligentnej jest jak wulkaniczna góra, na której zboczu zbudowano miasto: wyczuwasz alternatywny koszt owej okazji, czujesz potęgę wszystkich innych postrzeganych rzeczy, o których mogłaby w tym właśnie momencie myśleć, a nie robi tego gdyż szczytuje, i to prawdziwy zysk. Jesteś tam jeszcze?

- Próbuję akurat wyczuć mięsień mego nadgarstka - powiedziała - żeby zobaczyć, jak to było z tobą. Ale, wiesz, po zewnętrznej stronie przedramienia, wysoko, prawie przy łokciu, jest też taki mały napinający się mus-kuł. U mnie przynajmniej lepiej go widać. Wydaje mi się całkiem zajmujący.

- Ooch, przestań, bo pękne!

- Ha-ha! Mężczyzna, który wie co lubi, to mi się podoba. Chcesz usłyszeć, o czym myślałam, kiedy wczoraj szczytowałam pod prysznicem?

- Tak.

- Dobrze, powiem ci. Nie, wiem, co ci opowiem. Najpierw usłyszysz coś innego. Opowiem ci najpierw, jak się onanizowałam przed kimś. To krótka historia.

- Ależ proszę cię bardzo, mów.

- Mam ci opowiadać wszystkie świństwa, jakie mi przychodzą do głowy?

- Tak.

- Więc słuchaj - rzekła. - Wybraliśmy się do cyrku. Śmieszne, już samo mówienie, że mam ci to zamiar opowiedzieć rajcuje mnie nielecho. Pewnie to najlepsze ze wszystkiego. Coś jak ta chwila, kiedy przewalasz się po łóżku, by ułożyć się na waleta do robienia 69, emocja, jaką odczuwasz rozsuwając nogi nad twarzą mężczyzny, zaplikowanym; chociaż może to nieprawda, może prosty umysł subtelnieje i pięknieje przy szczytowaniu, jako że to najbardziej duchowa czynność, jaka mu się przydarza od dawna., ale orgazm u kobiety inteligentnej jest jak wulkaniczna góra, na której zboczach zbudowano miasto: wyczuwasz alternatywny koszt owej okazji, czujesz potęgę wszystkich innych postrzeganych rzeczy, o których mogłaby w tym właśnie momencie myśleć, a nie robi tego gdyż szczytuje, i to prawdziwy zysk. Jesteś tam jeszcze?

- Próbuję akurat wyczuć mięsień mego nadgarstka - powiedziała - żeby zobaczyć, jak to było z tobą. Ale, wiesz, po zewnętrznej stronie przedramienia, wysoko, prawie przy łokciu, jest też taki mały napinający się mus-kuł. U mnie przynajmniej lepiej go widać. Wydaje mi się całkiem zajmujący.

- Ooch, przestań, bo pękne!

- Ha-ha! Mężczyzna, który wie co lubi, to mi się podoba. Chcesz usłyszeć, o czym myślałam, kiedy wczoraj szczytowałam pod prysznicem?

- Tak.

- Dobrze, powiem ci. Nie, wiem, co ci opowiem. Najpierw usłyszysz coś innego. Opowiem ci najpierw, jak się onanizowałam przed kimś. To krótka historia.

- Ależ proszę cię bardzo, mów.

- Mam ci opowiadać wszystkie świństwa, jakie mi przychodzą do głowy?

- Tak.

- Więc słuchaj - rzekła. - Wybraliśmy się do cyrku. Śmieszne, już samo mówienie, że mam ci to zamiar opowiedzieć rajcuje mnie nielecho. Pewnie to najlepsze ze wszystkiego. Coś jak ta chwila, kiedy przewalasz się po łóżku, by ułożyć się na waleta do robienia 69, emocja, jaką odczuwasz rozsuwając nogi nad twarzą mężczyzny, zanim jeszcze ty ułożysz dłonie na moich plecach i pociągniesz mnie w dół, nogi nie zapomniały, jak to było ostatnim razem,

jakie odczucie pozostawia zakleszczenie w ustalonej pozycji, tak właściwej dla ludzkich ciał; podobne to wymianie obiektywu w aparacie, gdy obracasz go, aż zaskakuje.

- Ja zaś - powiedział - wyczuję, jak zmieniają się pochyłości materaca, wpierw po jednej stronie mojej głowy, potem po drugiej, gdy wbijają się weń ciężarem twoje kolana, podniosę wzrok i otworzę usta, szeroko rozwartymi dłońmi przesunę po twych pośladkach, przytrzymam je, aż wreszcie ściągnę na wystawiony język.

- Uaa. Zapadła cisza.

- Jesteś tam? - zapytał.

- Jestem.

- Opowiedz mi o cyrku.

- Dobrze. Przepraszam cię, będę niedługo musiała przynieść świeży ręcznik. No więc ten typ zabrał mnie do cyrku.

- Ten od ekstrawaganckiego zestawu stereo?

- Inny - odparła. - Nie był to jakiś znany cyrk, zadni Ringling Brothers, tylko nieduża południowoamerykańska trupa z masą słoni i ujeżdżającymi je kobietami w błyszczących kostiumach. W namiocie było nieprawdopodobnie gorąco, wszystko miało czerwony odcień, ponieważ na zewnątrz świeciło mocno słońce i przebijało się przez szwy kopuły cyrkowego namiotu, miałam na sobie szorty i podkoszulkę, ale byłam cała mokra, podobnie jak Lawrence, który też miał szorty i koszulkę, i jak wszyscy zresztą w namiocie, łącznie z artystami. W jednym z numerów, wenezuelskim zdaje się, kobieta wirowała twardymi kulami na długich sznurkach, bardzo szybko, za nią dwóch mężczyzn wybijało rytm na perkusji, kule uderzały o deski tuż przy jej stopach w innym, interesującym rytmie, kobieta spływała potem, prześlicznie wyglądała, na swój sposób, pomyślałam, coś jak ja w owej chwili, nagle tych dwóch przestało uderzać w bębny, ona znieruchomiła i wydała jakiś wibrujący krzyk, osobliwie piękny, dziki odgłos. Pokryta cała potem wyglądała naprawdę jak dzikus, mężczyźni za nią byli wyjątkowo przystojni, w szerokoskrzydłych czarnych kapeluszach wiązanych pod brodą, przez moment zachciałam być nią i gdy kłaniali się publiczności, ja przywołałam moją wypróbowaną wizję rozbieranki i wyobraziłam sobie, że to ja jestem tą kobietą w czarnym kostiumie, kręcę gwałtownie twardymi kulami, szybciej nawet niż ona, już ich nie widać, są plamą, wirują tak wartko, że niczym w komiksowej bójce, gdzie z jednego dużego młynka wypadają rzeczy, części garderoby, tak teraz mój kostium odrywa się w strzępach od ciała i spada między publiczność, gdy więc milknie bębnienie, a ja zamieram i wykrzykuję swój trel, jestem kompletnie naga, skrawki kostiumu fruną wciąż we wszystkich kierunkach i każdy mężczyzna, który dopada mokrego kawałka materiału, pokonany ustawia

się w kolejce, by mnie zerznąć, dwóch perkusistów wali przez cały czas w bębny, w końcu przestają grać i rzną mnie również. Ale to tylko tak na marginesie. Interesujące były za to numery ze słoniami. Jechałam na słoniu raz czy dwa, mała byłam, pamiętam, jak dotykałam wielkiej czaszki i mogę ci powiedzieć, że skóra wcale nie jest gładka, a ciepła, sucha i szorstka od szczeciny... tak to przynajmniej zapamiętałam. A te tu to nie były żadne małe słoniki, tylko wielkie stare bydlaki z ogromnymi kłami. Artystki zsuwały się z nich na arenę, jechały siedząc im na głowie i dyndając nogami między ich ślepiami, raz po raz wycinając piruety pośladkami po tej szorstkiej skórze, miały oczywiście jakieś cieliste pończochy czy rajstopy, więc nie dotykały bezpośrednio słoniowego cielska, ale co z tego, cyrkowe trykoty wycięte są z tyłu bardzo wysoko, zaczęłam się naprawdę martwić o ich pośladki, czy nie są aby bardziej obolałe niż to pokazują ich uśmiechy, i zaczęłam rozmyślać, czy gdybym to ja miała na sobie taki skąpy trykot, to czy odpowiadałby mi dotyk suchej, żywej skóry słonia na moich pośladkach, i wtedy, na początku ostatniej wielkiej promenady tych bestii, jedna z artystek jechała na słoniu zadzierając w górę nogę, gdy słoń odwrócił się, ujrzałam jej pośladki i nawet poprzez trykot mogłam zobaczyć, że są rzeczywiście czerwone! To była chyba główna amazonka, jak mi się wydaje. Tak czy owak, w finałowym numerze jechała minutę albo dwie oparta na słoniowych kłach, siedziała mu na trąbie, pięknie-pięknie, wdzięczne to wszystko, a przy tym zadziwiająco sugestywne, w końcu zaś zrobiła rzecz, która mnie naprawdę zaszokowała. Chwyciła jeden kieł i jedno ucho albo wykręciła się jakoś w górę, podniosła kolano tak, że trafiło wprost w słoniową paszczkę, zaczekała sekundę, aż ten ją zamknie, po czym odrzuciła głowę, wygięła plecy i rozrzuciła szeroko ramiona, wisiała więc w powietrzu przytrzymywana wyłącznie za to wciśnięte kolano! Słuchaj, pomyśl tylko o samej ślinie! Pomyśl o słoniowych zębach, delikatnie ale mocno trzymających cię za łydkę i udo, gdy język z ogromniastymi kubkami smakowymi spoczywa na twoim kolanie! Słoń zrobił pełne kółko z kobietą kiwającą się w tej pozycji, wreszcie zstąpiła na arenę, ukloniła się i poklepała go koło oka.

- Uou, to lepsze niż King Kong.

- No, ja w każdym razie byłam pod wrażeniem. To Lawrence wpadł na pomysł, by iść do cyrku, pierwszy raz byliśmy gdzieś razem, muszę dodać, choć znałam go już jakiś czas, uważał więc, by nie okazać poruszenia. Gdy wracaliśmy do samochodu, powiedział: „Widzę, że te słonie rzeczywiście reagują na tresurę”. Według niego słoń nie ścisnął kobiety zębami, ale raczej przytrzymał ją zaczepionym pod jej kolanem językiem. Wątpliwie to nieco brzmiało, choć sam pomysł był interesujący. Lawrence wzruszył mnie swoją radością z faktu, że cyrk mi się podobał. Staliśmy na parkingu obok mojego samochodu, skapani we

własnym pocie, skubał koszulkę łypiąc na mnie, mieliśmy jechać do małej knajpki, gdzie podawano muszle, i zjeść wczesną kolację przy stoliku w ogródku, ale nie miałam w ogóle na to ochoty. „Do cholery z tym”, pomyślałam i rzekłam: „Jesteś przeпоcony. Jedźmy lepiej do mnie, weźmiesz prysznic, ja też, zrobię nam potem coś co jedzenia, a na muszle wybierzemy się kiedy indziej, dobrze?” Zgodził się od razu: szczęśliwy był, że przejął z jego rąk odpowiedzialność za udany wieczór. Wziął więc prysznic, znalazłam gdzieś luźne szorty z elastycznym paskiem, w których mieścił się swobodnie, i dużą podkoszulkę, potem ja weszłam pod natrysk, włożyłam swoje szorty i ciemnoczerwoną koszulkę i wszystko było w porządku.

- Ale kąpałiście się osobno, żadnej wspólnej golizny.

- Tak, tak, bardzo cnotliwie - odparła.

- Co robił, gdy wyszłaś spod prysznica?

- Oglądał przycisk z weneckiego szkła.

- Klasyczne. Usłyszał z pewnością, jak skończyłaś się kąpać, zamarł więc przyciskając dziesięć minut szkło do twarzy, żebyś mogła bez trudu odkryć go w tej naturalnej pozie, a jakże, podziwiającego twoje cacuszko.

- Zupełnie możliwe. Tak czy inaczej zasiadł w kuchni i prowadziliśmy dosyć formalną rozmowę, gdy ja gotowałam fussili, taki spiralny makaron, potem wstawiłam do kuchenki mikrofalowej porcję siekanej wołowiny w sosie śmietanowym... swoją drogą wspaniałe danie, gotowa siekanina Stouffera podawana z makaronem, każdy rodzaj się nadaje, przyrządzam je sobie pewnie raz na tydzień. Lawrence udawał dziarsko, że jest zachwycony tym super prostym przepisem i gdy przekładałam fussili z sita na miskę, podszedł do mnie mówiąc: „Muszę to zobaczyć”. Miałam zamiar otworzyć po prostu paczkę z mięsem bezpośrednio nad kluskami, zawsze tak robię, ale zachciało mi się nagle powydziwiać, dopiero co brałam prysznic, a wiesz już, co to znaczy, nie wybrzdąkałam się wprawdzie mimo tej wielkiej wizji rozbieranki, jaką miałam w cyrku, nie mogłam po prostu, w mieszkaniu siedział mężczyzna, byłam więc teraz w łobuzerskim nastroju. Wzięłam butelkę stołowej oliwy wyciskanej z oliwek, wylałam trochę na makaron, a Lawrence (wyraźnie nie znał się na gotowaniu, aczkolwiek ze mnie też żadna wielka kucharka) rzekł wtedy: „Ach, więc to dlatego się nie skleją w jedną kluchę”. Przemieszałam je, ciągnęły się z ambarasująco erotycznym, soczystym mlaskiem, i w tym momencie uznałam, że gównu, ubrałam tego faceta, daję mu jeść, a teraz chcę go uwieść, natychmiast, jeszcze dziś, tutaj, odezwałam się więc w te słowa: „Jakie to dziwne - stwierdziłam - przypomniało mi się coś, o czym nie myślałam od lat. Kolega w ogólniaku, trochę mi go nawet przypominasz, pamiętam, jak twierdził, że jedna z

dziewcząt musiała używać oliwy, żeby wcisnąć się w dżinsy”. No, słuchaj, aż oczami przewrócił! Wysilił się na mizerny żart o ucisku świeżości, parsknął nerwowym śmiechem i wiedziałam, że już mi się nie sprzeciwi, już mi pokaże, jak mu pała staje, i chociaż przez tę nieszczęsną infekcję nie pójdziemy na całość, już ja zrobię z nim, co trzeba. To ta wibrująca Wenezuelka musiała mnie wpędzić w taki nastrój, wydaje mi się teraz. Czuję się pewna i silna, i panująca bez wysiłku nad sytuacją, i zupełnie inna niż zwykle. Otworzyłam opakowanie z mięsem i powiedziałam jakby w zadumie: „Wiesz, moja babcia była bardzo oszczędna, powtarzała zawsze, że dusi każdy grosz niczym kora drzewo. Zastanawiałam się nieraz, jak to jest, czy drewno rzeczywiście czuje ucisk kory. Przypominało mi się to za każdym razem, gdy wkładałam i zdejmowałam dżinsy”. Lawrence powiedział: „Coś takiego!” „Tak - potwierdziłam - choć właściwie nie lubię ciasnych dżinsów, już wtedy nie lubiłam. Luźne, tak. Rajcował mnie szorstki materiał, grube szwy, zupełnie jak kora, to, że znajdowałam się w jakimś bardzo męskim oplocie, ale i to, że gdy je zdejmowałam robiły się miękkie i pofałdowane”. Lawrence kiwnął głową z powagą. Powiedziałam więc, by przyspieszyć wieczór: „A gdy zaczęłam depilować nogi, co wcale nie jest tanim zabiegiem, przypomniało mi się to zdanie, dusić jak kora drzewo, kiedy Leona, moja kosmetyczka, obkładała mi skórę małymi plastrami rozgrzanego wosku, by po chwili zrywać je, już zastygłe”. Dodałam: „Właśnie wczoraj znów mi to robiła”. Lawrence na to: „Doprawdy?”, a ja: „Owszem, nie do uwierzenia, o ile swobodniej się człowiek potem czuje, całe nieomal ciało robi się bardziej giętkie, chcesz skakać, wyrzucać w górę nogi, brykać”. Poczekaliśmy, aż to do niego trafi i powiedziałam: „Leona jest Ukrainką, nieduża kobieta, pomrukuje tak zabawnie, gdy zrywa paski nasączonego woskiem muślinu, grrr, a gdy już obie nogi mam zrobione i ból mija, naciera je wtedy olejkami, nie uwierzysz, jakie to zmysłowe przeżycie!” Lawrence zamilkł na chwilę, po czym powiedział: „Nie znam się zupełnie na technikach depilacji. Nie spotkałem nawet nigdy kobiety, która woskowałaby sobie nogi”. Na to ja: „Chodźmy jeść”.

- Ach, cóż za taktyczka!

- Nie, w gruncie rzeczy nie. Zjedliśmy zatem kolację, bardzo spokojnie. Lawrence miał sporo zalet, był kościsty ale krzepki, mówiąc mrugał i wpatrywał się w ciebie w przemyślny sposób, inteligentny poza tym: był rzecznikiem patentowym.

- Aha. Naruszanie patentów?

- W samej rzeczy. Ale rozmówca z niego był zaden. W moich rękach: wosk. Właściwie nie, nie byłam wcale tak pewna mojej władzy, jak ci to teraz przedstawiam, chociaż rzeczywiście panowałam nieźle nad sytuacją. Zaczęłam go wypytywać o działanie

rozmaitych elektrycznych urządzeń, wiesz, co to jest krótkofalówka, jak działa telefon bezprzewodowy, dlaczego w kinach samochodowych można odbierać ścieżkę dźwiękową przez radio, takie sprawy. Potrafił bardzo interesująco o tym mówić, gdy się już rozkręcił. Tyle że ja starałam się, by w rozmowie dźwięczał przez cały czas lekko pikantny ton. Mówiłam na przykład: „Jak sądzisz, o czym naprawdę gadają ci napaleni krótkofalowcy? Nie uważasz, że są wśród nich utajone pedały, które wymykają się śpiącym żonom i w środku nocy przekradają do urządzonej w piwnicy radiostacji, by prowadzić długie konwersacje z przyjaciółmi w Nowej Zelandii czy gdzie indziej?” Odparł: „Przypuszczam, że to możliwe”. A o kinach samochodowych powiedziałam coś takiego: „Musi w nich być teraz znacznie wygodniej i intymniej, gdy można zamknąć całkowicie okna, nie ma już więcej tego łuszczonego się z farby metalowego bzykadła, które sterczało niby przyzwoitka, nie jesteś już przywiązany do niczego, przypomina to znacznie bardziej jazdę na autostradzie”. Powiedział, że nie wie dokładnie, w jaki sposób kina samochodowe wykorzystywały fale ultrakrótkie do przekazywania dźwięku, ponieważ ostatni raz był w takim kinie, gdy miał osiem lat, ale, powiedział, z technicznego punktu widzenia była to prosta sprawa, dla przykładu na tylnej okładce «Popular Science» reklamowano urządzenie, które wylapywało każdy odgłos w pomieszczeniu i transmitowało go do każdego wyposażonego w UKF odbiornika w promieniu stu metrów, nazywało się to bio-mikronadajnik. Powiedziałam: „Ooo, Bio-Mikro-Nadajnik!” On na to: „Tak, tak, możesz tę zabawkę zostawić na przykład w tym pokoju i przekaże stąd każdy dźwięk do każdego radia z UKF-em w okolicy, jeśli będzie odpowiednio nastrojone”. Dodał: „Oczywiście reklamują to ostrzegając wielkimi literami, że nie wolno tego używać do nieoficjalnego podsłuchu, ale i tak pewnie temu głównie służy”. Powiedziałam: „To znaczy, że cokolwiek robię, nawet najbardziej prywatnego i intymnego, wszystko to mogą usłyszeć ludzie pędzący samochodami po autostradzie?” „Jeśli mają odpowiednio nastrojone radia, to tak”, odparł. Powiedziałam: „Hmmm”. Mój duży pokój jest akurat na pierwszym piętrze, mniej więcej sto metrów od podpartej wysoko przesłami części autostrady.

- W jednym ze wschodnich miast - rzekł.

- Zgadza się - powiedziała.

- Co zatem zrobił Lawrence, gdy zainteresowałaś się żywo jego opisem bio-mikronamawiacza?

- Nadajnika. Spytał, czy może sobie wziąć czwartą porcję siekanej wołowiny. W końcu zjedliśmy, zaczęłam sprzątać ze stołu, Lawrence obwieścił: „Ja pozmywam”. „Zostaw, zrobię to później”, powiedziałam, ale uparł się:

„Nie, nie, naprawdę, lubię to robić”. Nie protestowałam więcej, sprzątną kuchnię rzeczywiście porządnie, ja zaś opowiedziałam mu scenariusz M jak morderca, przeciągając ile się dało epizod z namiętym listem znalezionym przy zwłokach mężczyzny z nożyczkami w plecach. I wiesz co? Lawrence słuchał uważnie, nie widział nigdy tego filmu, dasz wiarę? Powiedział, że nie lubi czarno-białych filmów. „Nie ma problemu, możesz ich nie lubić - stwierdziłam - ale ten jest kolorowy”. Na to on: „Och”. A potem: „Tak czy owak uważam, że Hitchcock był nieźle stuknięty”. „Pewnie masz rację”, powiedziałam. Lawrence wytarł dłonie w papierowy ręcznik i z butelką oliwy z oliwek w ręce odwrócił się do mnie mówiąc: „Dobrze, a co z tym?” Powiedziałam: „A co byś chciał z tym zrobić?” „Nie wiem”, odparł. „Cóż - rzekłam - czasem po woskowaniu, następnego dnia, mam wciąż lekko podrażnione nogi, i odkryłam, że oliwa stołowa naprawdę im pomaga”. Bujda, następnego dnia są już w porządku, ale co z tego.

- Licentia erodca.

- Dokładnie. Lawrence powiedział: „Ależ to narobi straszego bałaganu!” „Stanę w wannie”, rzekłam. „A czy oliwa nie będzie aby zimna i lepka?”, zapytał. Wstawiłam więc leżącą butelkę do mikrofalowej kuchenki na dwadzieścia sekund. Dotknął jej i pokręcił głową: „Potrzebuje chyba pełnej minuty”. Oparci o roboczą płytę wpatrywaliśmy się w kuchenkę podgrzewającą oliwę. Gdy pięć sygnałów obwieściło koniec, Lawrence wyciągnął butelkę i poszliśmy razem do łazienki. Stałam w wannie i podciągnęłam wysoko nogawki szortów, on zaś z wielkim namaszczeniem zanurzył końce palców w odrobinie oliwy, po czym roztarł ją tuż nad moim kolanem.

- Sam musiał klęczeć?

- Tak. Wanna właściwie nie była już mokra, tylko oczywiście wilgotna po naszych natryskach, ale woda się nie lała. Powiedział: „Jesteś bardzo gładka”. „Dziękuję”, rzekłam. Otaczał nas teraz charakterystyczny, mocny zapach oliwy, zaczęłam czuć się bachicznie i śródziemnomorsko, doprawdy jak lekko osmażana pieczarka. Lawrence przyglądał się swojej dłoni wędrującej po mojej skórze i mrugał oczami. Podsunęłam nogawki jeszcze wyżej, by mógł natrzeć całe uda i powiedziałam: „Leona jest bardzo dokładna, nie daruje żadnemu mieszkowi włosowemu”... ups, nagle przyszło mi do głowy, że może zabrzmiało to dla niego zbyt frywolnie, czy aby nie pomyślał, że chcę mu dać do zrozumienia, iż Leona przedobrzyła trochę i usunęła mi całe owłosienie łona, koszmarny pomysł, dodałam więc: „Oczywiście nie posuwa się za daleko”. Lawrence wylewał dalej oliwę na palce i rozcierał mija na skórze. Po jakimś czasie odwróciłam się i oparłam o natrysk, gdy on zabrał się do tylnej strony ud. Nie znał się na tym zupełnie, nie wiedział, jak należy ugniatać leżące głębiej mięśnie, ale

wyczuwałam w jego palcach inteligencję i zainteresowanie, gdy docierały do kolejnej wciąż suchej krągłości. Dłońmi sięgnął teraz pod luźny materiał szortów... miłe to było. Nie mówił ani słowa. Raz chyba odchrząknął. W końcu powiedział: „No, zdaje się, że wszystko”. Odwróciłam się i spojrzałam na niego z góry: siedział po turecku w wannie przyglądając się moim nogom, bardzo dokładnie to robił, naprawdę pozwalał sobie wędrować po nich wzrokiem. Miał kręcone włosy, moim zdaniem trochę za drugie. W jednej dłoni trzymał zakrętkę, w drugiej butelkę z oliwą; zanim wstał, wycisnął plastikowym korkiem zygzaki wysoko na wewnętrznej stronie obu moich ud. Był czerwony - uśmiechnęłam się do niego i spytałam: „Ścierpło ci coś albo zeszywniało?” „Taa, co nieco”, odparł. Odciągnęłam więc pasek w jego szortach i wlałam mu tam niecałą łyżkę oliwy.

- Nie żartuj!

- Noo, spojrzał na mnie z obłędem w oczach. Ale wiem, że nie zrobiłabym tego, gdyby to nie były moje własne szorty, jemu tylko pożyczone. Powiedziałam: „Strasznie cię przepraszam, nie wiem, co mi się stało. Zdejmij je, zobaczę, czy znajdę jeszcze jakieś”. Odstawił więc ten szczególny marsz, jaki wykonują mężczyźni przy ściąganiu gatek. Nie miał żadnej erekcji, ale całkiem uśpiony też nie był. Spytałam: „Czy oliwa była ciepła?” „Tak”, odpowiedział. Wtedy ja: „Chciałbyś jeszcze trochę?”, a on: „Może”. Zbliżyłam więc szyjkę butelki tuż do jego gęstego buszu, wysoko, to znaczy tam skąd wyrasta przyrodzenie, a nie do końca, ponieważ wciąż zwisał mu luźno, i przechyliłam ją jak gdybym chciała wylać na niego oliwę, ale faktycznie nie uroniłam ani kropli. Po prostu trzymałam tak butelkę. Oczekiwanie na ciepło oliwy sprawiło, że podniósł mu się trochę. Przechyliłam butelkę jeszcze bardziej, tłusta ciecz wypełniła szyjkę podchodząc aż do otworu, ale nadal jej nie wylewałam. Znów urósł mu trochę, głodny oliwy. Numer z lewitacją, tak to wyglądało. Dłonie zaciśnięte w chłopiące prawie piąstki trzymał przy ciele. Gdy sterczał mu już prawie poziomo, choć wciąż przegięty lekko w dół, niespodziewanie wylałam na niego całą zawartość butelki, zwyczajnie glug glug glug glug glug, spłynęła długością kutasa i z charakterystycznym dźwiękiem uderzyła o dno wanny. I to nie było parę kropli, nie, prawie jedna trzecia butelki. Już sama ta strata była ekscytująca. Zupełnie jak gdybym go pokrywała bursztynową glazurą. Pospieszenie rozstawił szerzej nogi, by oliwa nie pokapała mu stóp. Zanim z butelki wyciekły ostatnie krople, był już zupełnie, ale to zupełnie sztywny. Osiągnięty sukces sprawił oczywiście, że zaczęłam myśleć o czym innym: chciałam niemal, by natychmiast się wyniósł, a ja wtedy zabawiłabym się pod prysznicem. Wyszłam więc z wanny i powiedziałam: „Przepraszam cię, poniosło mnie trochę. Problem tylko w tym, że mam tę cholerną infekcję i niczego naprawdę z tym twoim pięknieniem nie wyczynie, choćbym nawet bardzo chciała”. Powiedział: „Ach,

nie ma znaczenia, w domu się z tym zaraz uporam, żaden kłopot. - Dodał: - Za to twoja wanna, trzeba przyznać, nieźle jest utyłana. Powiedz mi tylko, a już ją myję”. „Ach, nie - powiedziałam - nie przejmuj się tym, to tylko oliwa, nic takiego”. On jednak uczeplił się tej myśli: „Właśnie, oliwa, jak też to, że, mówiąc szczerze, wanna już przedtem nie była czysta”. „Nie nie nie, zostaw to, proszę”, mówię mu. Złapał leżącą w kącie starą wyschniętą myjkę i podniósłszy ją rzekł: „Słuchaj, jedno słowo wystarczy...” Stoi przede mną, rzecznik patentowy bez portek, z na wpół sztywnym kutasem i w podkoszulce z Mickey Mouse, i z zaciętą twarzą trzyma tę małą, pokurczoną zieloną myjkę. On chciał umyć moją wannę. Powiedziałam: „W takim razie doskonale, proszę cię bardzo, nie ma sprawy”. Spytał, czy mam proszek, przyniosłam mu więc z kuchni Ajax, a dla siebie składane krzeselko, by usiąść i się pogapić. Lawrence, okazało się, był zupełnie niesamowity, demon czystości. Podaje mi butelki szamponów, jedną po drugiej... wanna jest nagle obnażona! Kuca w środku, jajami wyciera praktycznie wielką łzę oliwy, jaka zebrała się na dnie, i zaczyna sypać proszek postukując opakowaniem o brzeg wanny dookoła siebie, aż na ściankach osiadają tumany jasnyniebieskiego pudru, wygląda to jak zorza polarna, nawilża myjkę i zabiera się do roboty, szoruje i szoruje, każdą okrągłość, każdą fugę, to dopiero są koliste ruchy, mój panie! Wymył kąt, w którym stały wszystkie szampony, przeze mnie uznany za zaciszny pleśniowy matecznik, wdarł się tam, grrr, grrr, ścisnął i wcisnął tę swoją gąbkę. Moja wanna nie jest brudna, zapewniam cię, po prostu nie lśni czystością, a poza tym rzeczywiście unosi się nad nią wyczuwalny zapach pleśni czy czegoś biologicznego jakby, nawet go lubię, bo z czasem zaczął mi się ściśle kojarzyć z moimi prywatnymi zajęciami spod natrysku. A teraz proszę, kogo to ja widzę pod moim natryskiem? Oplukiwał właśnie prysznicem zrobione już miejsca, po czym zabrał się za spychanie strumieniem gorącej wody całej oliwy w kierunku odpływu, tłusta ciecz wymieszana z proszkiem przybrała wstrętny wygląd, jakaś zasmażka najpierw, która roztrzępana potem przez wodę zmieniła się w żółtawą pianę, poradził sobie z nią bynajmniej nie zrażony. Zaczął doszorowywać się do armatury, nie szczczędząc proszku ani wody. „Zadrapania ci chyba nie przeszkadzają?”, zapytał. Powiedziałam, że nie. Natarł więc na kurek od zimnej wody, potem od gorącej, zawzięcie masował szparkę kontrolującą odpływ, wreszcie, gdy cała wanna aż błyszczała, wziął się za sam odpływ: odłożył sitko, wsunął w otwór dwa palce i wyciągnął filtr, o-hy-da, stuknął nim o ściankę wanny, a potem jak nie zaczął szorować chromowanej obudowy, w koło i w koło i głębiej, aż do niewidocznej kratki, której nigdy jeszcze nie czyściłam, wepchnął i tam gąbkę, grrr, więcej proszku, więcej kółek ręką, więcej gorącej wody... słuchaj, zaczarował mnie!

- Myślę!

- Podałam mu kosz, wyrzucił śluz i zużytą gąbkę, opłukał ręce, wstał i w tej świeżo wymytej wannie zaczął splukiwać swój kurek i nogi, miejsca, które pochlapała oliwa, przyglądałam się, jak woda spływa po jego ciele, jednostajny deszcz kropli z trzymanego przezeń prysznic układał mu włosy na nogach w doskonale równe rzędkie niczym na idealnie zebranych polu, całkiem niezłe był owłosiony, ściągnęłam wtedy szorty i bieliznę, usiadłam na przeciwległym brzegu wanny, lewą stopę oparłam o zaczep rękawicy kąpielowej, prawą przewiesiłam przez wannę i tak szeroko obnażona rzekłam do niego: „Też jestem trochę upaprana, mógłbyś...?”, zaczął więc polewać wodą moje uda, potem skierował strumień prosto na moje... niewiastości, rozchyliłam wargi tak, by mógł dostrzec głęboko między nimi mój rozek, moją czarodziejską różdżkę, na której rozpryskiwały się krople wody, i gdy tak mnie płukał, kutas twardniał mu na nowo. Samą wodą nie potrafię sobie jednak dogodzić, zaczęłam więc się brzdąkać, gdy on polewał mi dłoń, cudowne uczucie, wyciągnęłam do niego lewą rękę, stanął bliżej, wzięłam go w dłoń i próbowałam zabrać się do brandzla, ale nie szło mi to dobrze, bo z palcem na ślimaczkę było tak wspaniale, nie potrafiłam zgrać dwóch odrębnych ruchów lewej i prawej ręki w jednym rytmie, kręciłam jego kutasem jakieś dziwaczne kółka, zabrałam mu więc prysznic i powiedziałam: „Sam sobie radź”, opryskałam mu przyrodzenie, a także dół jego podkoszulki z Mickey Mouse, to znaczy mojej podkoszulki, gdy wziął się do roboty nie spuszczał wzroku z moich nóg i rozwarcia między nimi; polewanie go wodą, kierowanie strumienia na jego garść, widok jego mokrej podkoszulki sprawiały mi wielką przyjemność, choć miał, może to trochę nieładnie tak mówić, ale rzeczywiście miał przerażającego kutasa, monstrum prawdziwe, i ulga na myśl, że nie siedzi we mnie ten grzmot, wyrazistszy jeszcze w lśniącym pyłe kropli, wystarczała niemal, by zafiniszować. Ale ja też chciałam stać w strumieniach wody, chciałam go polewać, a jednocześnie czuć spływającą po mnie wilgoć, nagle przypomniałam sobie kobietę ze słoniem unoszącą kolano, wydało mi się to najnormalniejszą rzeczą w świecie, przyciągnęłam więc Lawrence’a do siebie tak, że obiema nogami okraczył moją lewą, kolano zadarłam w górę, zacisnął je między swymi udami, drugą nogę zaś odrzuciłam w bok rozwierając się na całą szerokość, i gdy teraz polewałam mu kutasa i dłoń, woda spływała mu po udach na moje udo i niżej, na mnie samą. Tego właśnie, dokładnie tego chciałam, robiło mi się już tak dobrze, powiedziałam mu o tym, i nagle jego brandzel przybrał jakieś niesamowite tempo, plama ruchu, zupełnie jak maszyna do szycia, i wystrzelił potężnym strumieniem spermy skosem w prawo, w wachlarz wodnych kropli, starł się z nimi i rozpadł pod ich naporem, gdy on sam ścisnął mi silnie nogę, moją gładziutką nogę, swymi doskonale wypieszczonymi przez wodę udami, przemieściłam się zrzęcznie, by gorąca woda i ścięta w niej sperma nie wpłynęły

mi przypadkiem do środka i nie narobiły jakiegoś kłopotu, ale stałam nadal w strumieniu. Lawrence ujął znów prysznic i, z kutasem w dłoni, ściskając mi wciąż kolano, polewał mi łagodnie rękę i uda, wodził prysznicem tuż nad nimi, aż zamknęłam wreszcie oczy i doszłam wyobrażając sobie, że mam przed sobą cyrkową publikę. Bardzo to było miłe.

- Chryste Panie, pęknę z zazdrości!

- Nie masz powodu - powiedziała. - Wydaje mi się, że go spieszyłam wspominając tak bezceremonialnie tę infekcję, zaś jego uległość mnie nieco zdenerwowała. Tak czy owak chciałam powiedzieć, że cała historia wiąże się z tą naszą rozmową, ponieważ wczoraj, gdy brałam prysznic i prawie już szczytowałam...

- Fantazjując na temat trzech malarzy..

- Nie, p o trzech malarzach, kiedy byłam już naprawdę blisko, rozmyślałam o tym spotkaniu z Lawren-ce'em, jak to mi się czasem zdarza, widzę go, jak podaje mi z poważnym wyrazem twarzy szampony, albo też jakiś inny epizod, wczoraj w każdym razie przypomniałam sobie ten bio-mikronadajnik, o którym mi opowiedział, i zaczęłam jęczeć i dyszeć w teatralny zupełnie sposób, takie „och taak, och taak mój byczku, oooch taak, głębiej mi go wsadź, głębiej, oooch taak”, i wyobraziłam sobie, że ktoś zostawił mi taki nadajnik w łazience, a po autostradzie mkną jacyś faceci, przesłuchują stację po stacji i nagle natykają się na mnie, słyszą moje przesadne jęki spod prysznica. Poczulałam, że zaczynam dochodzić, nabrałam wody do ust, mężczyźni na autostradzie słuchają bulgotu wypełniającego mnie płynu, i finiszując wypchnęłam wodę z ust, spłynęła po brodzie na mnie niżej, tak zwykle robię, powiedziałałam wtedy, ale tu już nie było teatru, naprawdę tak czułam, powiedziałałam: „No dalej, spuszczaście się, wy mineciarze!” Zdaje się, że coś mi się pokręciło z tego uniesienia.

- Całkowicie zrozumiałe. A więc potem zadzwoniłaś dziś wieczorem...

- Dzwoniłam dziś powodowana tym samym chyba impulsem: wyobraziłam sobie, że mojemu szczytowaniu przysłuchiwać się będzie pięciu czy sześciu mężczyzn, jak gdyby mój głos był czymś, jakimś bezcielesnym ciałem, nie wiadomo gdzie, i będą nakładać na nie swoje jęki, w pewnym sensie finiszować na nie; spodobała mi się ta wizja, tyle że później, gdy faktycznie zadzwoniłam, faceci okazali się w rzeczywistości cholernie denerwujący, albo biernie oczekujący zapewnienia im rozrywki, albo dopytujący się idiotycznie o moje wymiary, siedziałam więc przez jakiś czas cicho, aż wreszcie usłyszałam twój głos i spodobał mi się.

- Dziękuję. Twój też jest miły, wiesz? Bardzo łagodny.

- Dzięki, właśnie go wczoraj nawoskowałam. Czy nie należałoby, jak uważasz, czy nie powinniśmy już niedługo zrobić sobie dobrze?

- Tak. Masz absolutną rację. Jesteś naga?

- Sekundę. Tak, teraz jestem formalnie naga, stanik się nie liczy.

- Rozsunęłaś nogi?

- Palcami stóp opieram się o brzeg małego stolika.

- Czy prawą dłoń dotykasz ślimaczka?

- Impertynent! Ale oczywiście odpowiadam: „Tak”. Trzymam go z obu stron wskazującymi palcami, lewym i prawym, i ściskam lekko.

- Doskonale. Rób sobie nimi, co ci się zamarzy, a ja ci opowiem o specjalnym czułościomierzu, jaki posiadam. Nie można nim podsłuchiwać, nie zbiera dźwięków, po prostu wyczuwa bliską obecność każdej inteligentnej wybrzdąkującej się kobiety. Wygląda jak stary zegarek kieszonkowy, złoty i z podnoszonym wieczkiem, ale nie znajdziesz tarczy, gdy go otworzysz, zamiast niej jest tajemniczy płyn, bardzo specjalny płyn, który w szczególnych okolicznościach rozświetla się różnymi barwami, co można wytłumaczyć tym jedynie, iż wygadająca sobie kobieta stanowi tak doniosłe wydarzenie w fizycznym universum, że sam ten fakt narusza elementarne związki materii; w płynności znajdziesz prądy, które powoli przemieszczają się w określonym kierunku niczym wektory sił, co daje ci niejakie pojęcie o tym, skąd napływają sygnały znaczące masturbację, choć potrzeba lat praktyki, a przy tym i sporej dozy wrodzonych umiejętności, by nauczyć się poprawnego odczytywania płynu. Nazywa się ten przyrząd bio-mmmm-detektor, jak zapewne się domyśliłaś. Tak więc jadę któregoś wieczoru autostradą, może jest koło dziesiątej, przecinam jakieś miasto na wschodnim wybrzeżu, podróż w interesach, wypożyczony samochód średniej klasy, ford topaz, radio gra „Ain't Nobody”, bo to stacja nadająca dobre stare kawałki, jadę przed siebie, na siedzeniu obok leży mój mmmm-detektor, otwarty jak zwykle, ale płyn jest ciemny, bez koloru, zaczynam wykręcać pośród dzielnic mieszkaniowych, domy stoją gęsto po obu stronach drogi, rzucam okiem na sprzęt... Boże mój, bardzo wyraźny sygnał, odbieram fale o kształcie dotąd mi nie znanym, gdzieś z bardzo bliska po mojej prawej stronie, wyginając kark dostrzegam rozświetlone okno i wiem, że właśnie zaczynasz, jesteś już w trakcie. Lata wprawy w odczytywaniu wykresu zmian mówią mi, że tu dzieje się coś szczególnego, coś, czego nie mogę zostawić, wykręcam więc gwałtownie kierownicę, wpadam na zewnętrzny pas i już pędzę z powrotem wąskimi ulicami przeklinając wszystkie zakazy wjazdu; gdy podjeżdżam do drzwi, zza których przebijają się wektory siły Mmmm, parkuję w niedozwolonym miejscu ryzykując mandat, zostawiam włączone światła

ostrzegawcze i wchodzę do budynku. Widzę cały rząd ozdobionych nazwiskami przycisków, zbliżam mój detektor do każdego, aż jeden z nich, trzeci od dołu, rozjarza płyn nieoczekiwaną barwą, waham się teraz, wiem, że ci przerwę, a tego nie chcę robić, to ostatnia rzecz, którą chciałbym uczynić, ale jednocześnie widzę jasno, odczytuję to z natężenia fal, że bardzo jest prawdopodobne, iż gdybym ci był znajomy, to chciałabyś, bym ci przerwał, i narasta we mnie przekonanie, że tak właśnie jest, palce drżą mi na przycisku z twoim nazwiskiem, między powściągliwością a pokusą toczy się wielka wojna, walka między obawą, że wywołam lęk, i pewnością, że niczego podobnego nie wzbudzę, świadomość, że przypadniemy sobie do gustu, jeśli tylko wduszę ten przycisk, spoglądam na mój mmmm-detektor i widzę, że przy tym tempie będziesz finiszować w ciągu niecałych czterech minut, naprawdę pędzisz przed siebie, barwy nabierają intensywności, a ja trzęsę się, drzę, ale muszę to zrobić, naciskam przycisk, bzzzzt. Leżysz na łóżku, masz na sobie niebieską pulowerową bluzę z długimi rękawami, czarne spodnie i czarne trampki, ale czerń spodni spowija ci kostki, w lewej ręce trzymasz wyświechtany, rozpadający się prawie egzemplarz «Forum», czytasz o rozmowie w sprawie przyjęcia do pracy, podczas której dama przeprowadzająca wywiad obciąża pałę kandydatowi, jesteś akurat w połowie, gdy bzzzzt, dzwonek do drzwi. Któż to może być?

- Podciągam więc spodnie, idę do domofonu i mówię: „Halo?”

- A ja odpowiadam: „Hej, to ja, Jim. Wiem, że jest już późno, ale chciałem tylko zapytać, czy mógłbym skorzystać z pani telefonu. Silnik mi się zatarł, wskaźnik oleju pokazuje zero, boję się po prostu jechać dalej, a uliczny telefon nie działa”.

- Pytam: „Dlaczego zadzwonił pan do mnie?”

- Mówię: „Bo inni nie odpowiadają. Ma pani święte prawo czuć lęk, ale to naprawdę wyjątkowa sytuacja, po prostu nagła, chcę wrócić do hotelu, jutro mam całą masę umówionych spotkań, cały dzień zapchany, muszę ode-spać swoje siedem i pół godziny albo nie będę w stanie funkcjonować, dlatego chcę koniecznie zadzwonić, zapewniam panią, że jestem zupełnie przeciętnie normalny i spokojny, nigdy bym się nie odważył wkroczyć w pani zacisze domowe, ale proszę mi wierzyć, że nic nie może być w tej chwili dla mnie ważniejsze. Proszę”. Wyczuwasz w moim głosie zdecydowanie i wpuszczasz mnie do środka.

- No, niezupełnie, najpierw przytrzymuję klawisz domofonu i krzyczę głośno w głąb pustego mieszkania: „Jeff? Jeff! Zostaw już te sztangi! Czy ty i ten twój Macho-Expander macie coś przeciwko temu, że ktoś zadzwoni od nas?” Wtedy dopiero wpuszczam cię do korytarza na dole, wiedząc zresztą, że mogę przypatrzeć ci się przez wziernik w drzwiach i w razie czego zadzwonić po Boba, mojego dozorcę.

- Dokładnie tak. Wbiegam na drugie piętro, odszukuję twoje drzwi, zanim stanę tuż przed nimi sprawdzam raz jeszcze mmmmmój-czujnik i widzę, że poziom twego pobudzenia opadł nieco, od orgazmu dzieli cię co najmniej dziesięć minut, aczkolwiek tarcza nadal lekko świeci. Pukam i zaczynam przechadzać się nerwowo przed drzwiami: facet, który koniecznie musi zadzwonić. Spoglądasz przez judasza: średniego wzrostu typ, ciemne włosy, nawet przystojny mimo iż trochę zmordowany, łązi niecierpliwie w tę i z powrotem rzucając okiem na kieszonkowy zegarek. Wpuszczasz mnie do mieszkania. Przedstawiam się, przepraszam za kłopot, uśmiecham się do ciebie i natychmiast rozpoznaję w twojej twarzy żywość i inteligencję, wyczuwam, że rozumiemy się doskonale i wiem w tym momencie, że mmmmmój-czujnik nie wprowadził mnie w błąd. Ale, ale, przecież oszukałem cię, by wejść, tu widzę problem!

-I słusznie, bo gdybym wiedziała...!

- To koniec. Przynosisz mi zatem telefon, ja siadam na brzegu krzesła z jadalni i dzwonię pod mój własny numer, gdzie „rozmawiam” z automatyczną sekretarką, opowiadam o wskaźniku oleju, naprawdę ktoś będzie musiał się tym zająć, potrzebuję numer lokalnego przedsiębiorstwa taksówkowego i tak dalej, nagle zupełnie niespodziewanie przerywam w środku zdania, przerywam połączenie i mówię: „Niee, nie mogę”.

- „Czego pan nie może?”

- „Nie potrafię tak. Nie umiem udawać”. I przyznaję się do kłamstwa: samochód jest w porządku, jechałem właśnie autostradą, gdy mój bio-mmmmmój-czujnik albo detektor, nieważne, zaczął pokazywać bardzo niezwykły, by nie powiedzieć unikalny odczyt, wyciągam go z kieszeni, otwieram porysowaną delikatnie złotą kopertę i podsuwam ci go, objaśniam z niejakim wahaniem, że oto, ee, odbiera strumienie fal płynących od inteligentnych, ee, masturbujących się kobiet, pokazuję ci, jak nabiera blasku, wskazuję faliste linie przepływu biegnące w twoim kierunku, mówię: „Teraz są trochę słabsze, ale jak najbardziej wyczuwalne, naprawdę wyglądają fantastycznie. Zobaczmy zresztą, co się stanie, gdy zrobię coś takiego...” I staję tuż obok ciebie, byś mogła widzieć tarczę czujnika, gdy trzymam go niecałe pół metra od twojej twarzy, po czym obniżam go i powoli przesuwam parę centymetrów od każdej piersi, w wykresie zachodzą skomplikowane zmiany. Mówię: „Być może zauważyła pani, że odbieram również inne sygnały, obrazy zakłóceń”, podnoszę przyrząd wyżej i bez pośpiechu przechodzę do przedpokoju, gdzie z pomalowanych ścian przebija lekko sielski wzór, mówię: „Na przykład te ściany, bardzo dziwne”, kręcę głową w zdumieniu, po czym podążam w ślad linii wykresu do kuchennej szuflady wypełnionej srebrnymi sztuczkami, zupełnie zastanawiające, ruszam do łazienki, idziesz za

mną, zaglądam pod natrysk przesuwając mmm-mój-czujnik obok armatury, odpływu, butelek z szamponami, niewiarygodne zmiany kolorów i skupienia fal przepływu, kręcę głową i mówię: „Nie, czegoś tak intensywnego nigdy jeszcze nie spotkałem”, i znów idę za czujnikiem do sypialni, wchodzisz też, mówię: „Rety, ależ tu silny strumień!”, przejeżdżam nim nad szenilową narzutą i wskazuję dwa sporo oddalone od siebie punkty: „Tu i tam musiały być pani stopy”, wiem doskonale, że wszystko co robię jest zuchwałością, doprawdy niewybaczalne, ale w jakimś sensie ciekawi cię to, ja zaś przekazuję tylko fakty, bo wyczuwam, jak bardzo tego wszystkiego chcesz; wciskam czujnik w poduszkę, następnie sięgam pod nią, by znaleźć twój rozpadający się egzemplarz «Forum», siadam z nim na łóżku i powoli kartkuję przykładając detektor do każdej strony, aż wreszcie napotykam tę jedną, spoglądam bardzo uważnie na czujnik, zbliżam go do guzika twoich spodni, znów patrzę na czujnik, uśmiechnięty podnoszę na ciebie wzrok, wyciągam do ciebie pismo wskazując jeden z akapitów na owej stronie i mówię: „Akurat czytała pani ten fragment, to konkretnie zdanie, gdy zadzwoniłem na dole do drzwi”.

- Wtedy ja - rzekła - biorę od ciebie «Forum» i patrzę, co mi pokazujesz: nieźle, naprawdę, zdanie wprawdzie nie to, ale akapit się zgadza. Nie bardzo wiem, co mam teraz zrobić. Powinnam pewnie wezwać policję, wiesz o mnie takie rzeczy, ale z drugiej strony cóż, już tu jesteś, między nogami wciąż czuję się obrzmiała, ty zaś posiadasz swoisty urok, jeszcze ten intrygujący zegarek, więc ci proponuję, co ci mogę zaproponować? Wytrawny wermut z lodem. Akceptujesz.

- Z największą ochotą - powiedział. - Siedzę w fotelu, kiedy ty zbliżasz się z kieliszkami, to niski obszerny mebel, nogi mam rozsunięte szeroko acz niewinnie, otrzepuję siedzenie fotela między moimi udami sygnalizując ci w ten sposób, że jeśli zechcesz możesz tu usiąść, żaden kłopot, i oprzeć się o mnie plecami, odwracasz się rzeczywiście i siadasz, nie odchylasz się jednak w tył, a w przód, mam więc przed sobą twe ciepłe plecy, okryte luźną błękitną tkaniną bluzy, cud nie plecy, pociągam łyk mojego alkoholu i odstawiam kieliszek na stół, na serwetkę, by nie zrobił mokrego śladu, po czym wychylam się i wyłączam stołową lampę, robi się ciemniej, a ja zamykam oczy i dłońmi znajduję twoje ramiona; pytasz, gdzie znalazłem mmmój-czujnik, opisuję ci stragan z rupieciami na pchlim targu w Anaheim, sto czterdzieści dolców i to bez jakiegokolwiek instrukcji, mówię, jak z czasem odkryłem, do czego służy i jak się go odczytuje, opowiadając robię kciukami małe łuki tuż nad twoimi łopatkami, więcej pocierania nie zniósłbym, bo sama myśl o czymś takim jak nacieranie grzbietu wyłącza mnie natychmiastowo, a nie mogę dopuścić do czegoś podobnego, choć twoje plecy i moje dłonie okazują sobie wzajemne zainteresowanie. Co mnie naprawdę

interesuje, to twój biustonosz, rozluźniam więc lewą rękę i pozwalam jej zsunąć się środkiem twoich pleców, sunę palcami w dół po twej bluzie, lekko, bardzo lekko, aż dochodzę do miejsca, w którym jest zapięcie biustonosza, oczy mam wciąż zamknięte, twoja ciepła pupa siedzi mi wciąż niewinnie między nogami, i wyczuwam trzy możliwe punkty dla zaczepienia haftek, wybrałaś ten trzeci, najdalszy, bo pewnie w praniu zbiegło się wszystko, palcami wędruję teraz w górę, wzdłuż zaokrąglonego kraju stanika wspinającego się ku ramionom, przekraczam szczyt ramienia tym łukiem i cofam się z powrotem na plecy, pomiędzy łopatki. Zupełnie jak jazda przez Bay Bridge. Ruszam potem poprzecznym brzegiem w obie strony, pod ramiona, aż dosięgam zaszewki miseczek, wszystko to czujesz niezbyt wyraźnie, bo przecież masz na sobie bluzę i biustonosz, ale uświadamiasz sobie teraz znacznie lepiej jego fason; jestem znów przy zapięciu, robię ten uświęcony tradycją szczyt i odpinam haftki poprzez tkaninę, obie połówki rozsuwają się i nareszcie czuję, że owego cudownego odcinka nic nie przecina, wciskam lewą dłoń między łopatki i wolnym ruchem sunę w dół, ciągnę przy tym twoją bluzę, czuję formujące się i znikające fałdy, wyczuwam wypukłości kręgosłupa... cóż za piękne plecy, takie ciepłe. Bardzo chcę dotknąć twej skóry. Kładę więc obie dłonie na twoich biodrach, zahaczam oba kciuki i palce wskazujące o dolny kraj twej bluzy, albo nie, chwytam ją po obu stronach i ciągnę, była przecież wepchnięta w spodnie, wyciągam ją na wierzch i wsuwam obie dłonie pod spód, czuję, jak przez skórę przechodzą ci lekkie skurcze, gdy dotykam jej po raz pierwszy tuż nad biodrami, sunę palcami wzdłuż wewnętrznej strony paska, ach, ta twoja ciepła pupa, kładę płasko obie dłonie na twych plecach i wsuwam ci je pod bluzkę, aż-do-góry, aż palce wychodzą na karku i zagłębiają się ociupinkę we włosy, nim wycofają się z powrotem. Masz szeroką bluzę, więc się nie martw. Nie nudzę cię?

- Nie, nie, mów dalej, dobrze jest.

- Ach, to piękne, tak gładzić cię rękami pod tą luźną tkaniną, naprawdę piękne. Schodzę dłońmi na brzuch, koniuszki palców zamykają się w objęciu, czuję, jak go wciągasz, przesuwam wolno palcami wzdłuż żeber, gdy sięgam początku krągłości piersi, śledzę ich obrys, najpierw od środka, potem do środka, opuszkami tylko dotykam miejsca między dwiema półkulami, w górę po mostku i pod obluzowany stanik, i jednym palcem wyżej jeszcze, do krtani, aż do podbródka, odchylasz teraz głowę w tył, czuję zapach twoich włosów, ale cofam w tym momencie dłonie, specjalnie unikam dotknięcia twych piersi.

- A ja wstaję - powiedziała - odwracam się twarzą do ciebie, kolanami dotykam fotela i odpinam guzik spodni.

- Ja zaś - rzekł - wyciągam rękę do zamka błyskawicznego i ciągnę go powoli w dół, napieram na twój wzgórek, nie na łechtaczkę, powyżej, wciskam palce pod pasek i uwalniam

twoją pupę i biodra ze spodni, gdy opadają do kolan, przytrzymuję je stopą w kroku, byś mogła łatwiej z nich wyjść, w nozdrza uderza mnie zapach twojej wilgoci, dłońmi sunę w górę twych nóg i wciskam palce za gumkę majtek, pociągam je lekko, po czym roluję wewnętrzną stroną dłoni, materiał zwija się, opadają i wychodzisz z nich bez trudu. Wtedy...

- Wtedy - powiedziała - odpinasz pasek swoich spodni, potem guzik, cichy brzęk klamry będzie niczym maleńki dzwoneczek sygnalizujący początek czegoś poważnego, bez pośpiechu opuszczam zamek ponad wysokim garbem twojej erekcji, unosisz biodra, a ja ściągam ci spodnie, ale nie spodenki, po czym układam jedno kolano na siedzeniu fotela między twoimi udami, tuż przy jądrach, drugie obejmuje nogę od zewnętrznej strony, osiadam wolno całym ciężarem na twoim udzie, jesteśmy blisko, ale widzimy się wzajemnie.

- Najpierw - powiedział - czuję skórą szorstkie dotknięcie włosów na twym łonie, mierzwią się i kłębią, potem otwierasz się i na mięśniu uda czuję wilgotny owal gorąca, spoglądam w dół na twoje zgięte nogi okraczające moje udo, wiodę po nich dłońmi, zbieram w garść bluzę, tym razem ciągnę ją unosząc dłonie, patrzę, jak podchodzi w górę, jej obrąbek mija już przeguby, dosięgam twoich piersi i podsuwam leciutko bluzkę i odpięty biustonosz jeszcze wyżej, i och, mam je już, twoje sutki, nareszcie, widzisz, jak moje dłonie obnażają je, ja widzę drobny ruch twoich piersi przy oddychaniu, siadam głębiej i pochylam się do nich, ale nagle prostuję się, oblizuję wargi i całuję cię, masz wspaniale ciepły i odważny język.

- Uuuh!

- Wygięty w tył pochylam się do piersi, otwieram usta, przypomniały sobie nareszcie, jak wygląda pocałunek, okrywam twoją sutkę samym oddechem, bluzka zaczyna się obsuwać, pomagam jej najpierw językiem, potem odsuwam na bok ręką, nakrywam teraz pierś obiema dłońmi, czujesz, jak ją trzymam, jest całkowicie pod moją ochroną, wysuwam sam koniec języka, by dotknąć nim płaskiego prawie, choć twardego wierzchołka brodawki, otwieram szeroko usta, wciągam głęboko język, ty zaś przeginasz się lekko, aż ustami dotykam piersi, otaczam sutkę wargami, ale unikam bezpośredniego kontaktu, wysysam ją bez dotykania, czujesz jak znika w moich ustach, mięśnie wręcz przez to i traci ostry kontur, bo chce być smakowana, i nagle czujesz koniuszek mego języka, dotykający samej nasady brodawki, poziomy ślad gorąca, pionowy, teraz cały mój język, natarczywy bardziej i szeroki, porusza się żywo po twojej sutce, aż wstrzymuję go, uspokajam wargi, rozluźniam je i trzymając twoją pierś dłońmi kręcę nią w koło, kołyszę ją w obie strony, byś poczuła jej całą wielkość, ach, połykam twój biust...

- Ja zaś trzymam cię przy tym za głowę, przez policzki wyczuwam twój język, jak dokonuje wszystkich tych cudowności, i jestem taka mokra.

- Napinam mięsień uda, ten, który dociskałaś sobą, czuję, jak przesuwa się po nim twoja wilgotność, podnoszę wzrok i całuję cię ponownie, schodzę rękami na twoje uda i pcham, uciskam mocniej twoją szparkę, przesuwasz lekko uda, by odczuć to jak najpełniej...

- A ja całując cię sięgam w dół i wsuwam palce w nogawkę twoich spodenek, podciągam je nad twoje przyrodzenie, trzymam przez chwilę jądra, po czym unoszę dłoń i zaciskam na czubku kutasa, ciągnę i jakby pcham, trzymając go ciasno.

- Ty zaś czujesz, jak w czasie pocałunku usta układają mi się w kształt., och, to rozkaz dotknięcia twej ręki, aha, zaraz będę ci musiał wylizać, bo czuję, jak rośnie we mnie ochota do wytryśnięcia, zmieniamy zatem pozycję, ty siedzisz teraz w fotelu, ja klęczę na podłodze, przesuwasz biodra do przodu, tak że pośladkami wspierasz się o sam brzeg poduszki, z góry widzisz swoje piersi i ciemną kępę włosów, zaciśnięte razem kolana i moje dłonie na nich, błyszczący wilgocią ślad na moim udzie; otaczam wtedy ramieniem twoje nogi, przytrzymuję je razem i pochylam się do twego trójkąta, wchodzę weń, w jego widoczny skrawek oddechem, palcami przeciągam wzdłuż całej długości, na której stykają się twoje uda, aż do kolan; zwalniam uścisk ramienia, nogi rozsuwają się wprawdzie lekko, potem bardziej i bardziej w miarę jak moje dłonie wspinają się szeroko rozłożonymi palcami coraz wyżej po ich wnętrzu, wreszcie unoszę twoje kolana i przerzucam je przez wyściełane ramiona fotela, jesteś szeroko otwarta, w półmroku kępa włosów wciąż mało jest wyraźna, podnoszę wzrok spoglądając na ciebie i przysuwam się bliżej na kolanach, mógłbym teraz wsunąć się w ciebie; dłońmi dotykam twoich ramion i powoli końcami palców przechodzę po piersiach, niżej na brzuch i dalej, lekko, tak, by tylko poczuć pod nimi włosy, po czym mówię: „Teraz ci wylizę” i zegniam się raptownie z twoją sutką, schodzę oddechami w dół, tym razem nakrywam kępę ustami, widzę linię graniczną opalenizny i owłosienia, nie przerywam już, nogi masz szeroko rozłożone, całuję wnętrze jednego kolana, odwracam się do drugiego, i pnę się dalej, wyżej, jedną stroną i drugą, każdy pocałunek kończę krótkim ruchem języka do góry, liz liz liz, w górę, z prawej i z lewej, coraz bliżej złączenia twoich ud. I wreszcie obracam głowę po raz ostatni, dalej już się nie da, ustami zanurzam się w gęstwie łonowej kępy, dyszę poprzez nią, wypełniam ją gorącem, otwieram usta jeszcze szerzej, wysuwam język i rozpoczynam nisko, od dołu; spodnia strona mego języka dotyka dolnych zębów, powoli przesuwasz nim wyżej, aż do miejsca, w którym skóra ma więcej fałd i znajduję twego cudownego ślimaczka, smakuję go językiem, mam go już, więc zamykam usta i zagrzebuję się jakby w tobie, otaczam go ustami rozgarniając na boki włosy, dłońmi dotykam ścięgien napinających się po wewnętrznej stronie ud, bardzo wysoko, byś mogła poznać, jak szeroko jesteś otwarta, wsysam ustami skórę wokół ślimaczka tak, jak to robiłem z sutką, czujesz, jak

znika mi w ustach i jak wciągając ją przenoszę język wysoko, do samej podstawy twego cudownego rożka, tam, gdzie zaczyna się ów maleńki grzebień, i wolno wyruszam językiem w górę i w dół, w górę i w dół, czujesz jego koniec schodzący niżej, w gorące partie, aż sięgam tej najbardziej obrzmiałej części, cofasz wtedy lekko uda, by jak najlepiej odczuć pieśczołę, a ja ujmuję twoje pośladki w dłonie i podnoszę cię do ust, wysysam cię, głową kręcę gwałtownie na boki, jak gdybym powtarzał nie nie nie, gdy językiem mówię przecież twojemu śli-maczkowi: tak.

- Och, już zaraz będę gotowa. Wejźdź we mnie, chcę sobie wyobrazić, że jesteś we mnie.

- Masz rozłożone nogi?

- Tak.

- I pieścisz swego ślimaczka?

- Tak, tak.

- Dobrze, liżę cię więc jeszcze raz, do góry, po czym prostuję się, wciąż ściskam twoje pośladki, jesteś w tym momencie całkowicie odsłonięta, rozchylona szeroko, aż ociekająca wilgocią, ujmuję mój róg w dłoń i wibruję nim nad twoim rożkiem, gdy ty opuszczasz ręce i rozsuwasz palcami wargi, ja zaś wpycham go wtedy czując, jak jesteś rozpalona, powoli wślizguję się cały i po chwili prawie cały wyślizguję, i znów w głąb, pomiędzy płatki twego pięknego kwiatu, za każdym wyciągnięciem widzę twoją dłoń kręcącą ślimaczkiem, i wchodzę znów aż zderzają się nasze kości łonowe, oglądam twoje dygoczące za każdym takim pchnięciem cycki, walimy się, rżniemy, pier-do-li-my, wchodzę, wychodzę...

- Ooch!

- Palcem szarpiesz clitoris, wygiąwszy dłoń wodzisz po nim wskazującym palcem w tę i z powrotem, ściskam cię za póldupki obiema rękami, byś poczuła, jak ci je rozrywam, wysuwam się z ciebie do końca prawie, wsuwam głęboko, wysuwam, wsuwam, piersi podskakują ci za każdym razem, widzę je...

- Och, ooch!

- Oooh, nie wytrzymam już dłużej, kutas mi pęka!...

- Och! Nnnnnnnn! Nnn! Nnn! Nnn! Nnn! Nnn! Nnn!

- Strzelam, strze-lam! Już nie mogę! Ach! Ach! Ooo-ooo.

Zapadło milczenie.

- No, człowieku - powiedziała. - Uou! Jesteś tam?

- Tak mi się wydaje - przełknął ślinę. - Daj mi złapać oddech.

- To było... to było... chłopie! - powiedziała. - Gdy szczytowałam, zobaczyłam Wielką Pieczęć Stanu Massa-chusetts.

- Usłyszałem, że dochodzisz, i wtedy ja też... - powiedział.

- Fuuu! Jak długo rozmawialiśmy?

- Godziny.

- Godziny i godziny, i godziny - rzekła. - Usta mam całe posiekane. Za dużo kombinacji.

- Czy nie boli cię głos?

- Wiesz, że tak! Ho-ho! Jeez, jutro znowu zadzwonię do pracy, że jestem chora. Będę spała cały dzień, mmm, pycha. Słuchaj, ten szum w telefonie robi się coraz głośniejszy, nie sądzisz? Towarzyski taki. Zawsze jest intensywniejszy pod koniec rozmowy.

- Och nie, to już naprawdę koniec? - rzekł. - Czy nie moglibyśmy jakoś wyciszyć się, rozmawiając ciągle? Nie wyobrażam sobie lepszej inwestycji dla moich życiowych oszczędności. Nie żebym był znowu takim wielkim ciułaczem...

- Za to niekiepski z ciebie telefoniczny gaduła.

- Z ciebie też! Słowo daję! Naprawdę, to była jedna z najlepszych rozmów, jakie miałem.

- Mnie się też podobała - rzekła. - Chociaż nie wiem: myślisz, że rzeczywiście mówiliśmy wystarczająco dużo o seksie?

- Ależ gdzie tam! Ja... - Tak?

- Czy sądzisz, że znowu na siebie trafimy?

- Nie wiem... Nie, nie wiem. A co ty myślisz?

- Mogę ci dać mój numer - powiedział. - Oczywiście jeśli nadal masz ochotę. Nie chcę, żebyś się czuła niewygodnie, więc nie będę prosił o twój. Albo możemy się tu spotkać, jeśli wolisz.

- Tu pod gwiazdami? Nie, na to nie mogę sobie pozwolić. Gdzież jest coś do pisania?... Aha, śliczny tępy ołówek. Daj mi ten numer.

Powiedział, ona powtórzyła.

- Nie każ mi czekać długo - rzekł. - A najlepiej zadzwoń do mnie za parę godzin, jak już poprawisz sobie pod prysznicem.

- Poznałeś mnie całkiem dobrze...

- Polubiłem cię też.

- Ciekawa jestem, jak wyglądasz - rzekła.

- Zdziwiająco normalnie. Może któregoś dnia się przekonasz.

- Całkiem możliwe.
- Pewnie będziemy z początku nieco onieśmieleni. Ale potem...
- Potem zaczniemy brandzlować się jak opętańcy - rzekła. - Co zaraz przełamie lody.
- Słusznie. Więc mam nadzieję, że zadzwonisz. Pamiętaj, że mam wciąż tę parę bawełnianych szenilowych rajstop. Nie rozpakowanych.
- Mały rozmiar?
- Mały rozmiar. W cielistym kolorze. Powiedz Leonie, żeby ci nawoskowała nogi, ja już pędzę. Nie, nie, ale zadzwoń szybko. Szybko szybko szybko. Mam nadzieję, że to zrobisz.
- Dobrze - powiedziała. - Pozwól mi trochę pomyśleć o tym wszystkim. Wchłonąć te niezwykłości.
- Co tu niezwykłego?
- Nic - odpowiedziała. - W gruncie rzeczy nic. Ale naprawdę powinnam już się rozłączyć. Muszę wyprać całą masę ręczników.
- Oczywiście. Dobrze więc. Jak to mówią: „Dzięki za skontaktowanie się z tym numerem”.
- To ja tobie dziękuję. Trzymaj się, Jim.
- Trzymaj się, Abby. Pa. Odłożyli słuchawki.